

P I O N

Wydano z dubletów
Bibl. Publ. m. st. Warsz.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 4 MAJA 1935 R. * NUMER 18 (83)

TREŚĆ: M. RZEUSKA: Reforma polonistyki * V. NEZVAL: Poezje * L. CHMAJ: Człowiek współczesny a zagadnienie śmierci * K. WACHOWSKI: Losy historii w Z. S. R. R. * Z. STAROWIEYSKA-MORSTINOWA: Nagroda literacka m. Krakowa * J. ST. BYSTRON: Lektura podróżna * J. PUCIATA-PA-



WŁOWSKA: Wystawa „Sztuki” w Zachęcie * K. MICHAŁOWSKI: Egipt a nauka polska * M. GRABOWSKA: O zmianę polityki teatralnej * K. IRZYKOWSKI: Teatr * J. E. SKIWSKI: Powieść * A. BOHDZIEWICZ: Kronika filmowa * J. ANTONIEWICZÓWNA, ST. SZ., L. ZEMBRZUSKI: Varia * Kronika.

REFORMA POLONISTYKI*

Nietrudno zauważyć, że dyskusja, toczona od dłuższego czasu na temat reformy studiów polonistycznych, nie posunęła się prawie naprzód w stosunku do tego, co powiedział jej inicjator, prof. Kolaczkowski¹. Zadaniem niniejszego artykułu jest poruszyć nasuwające się w związku z jego wywodami wątpliwości i zobaczyć, czy przypadkiem realizacja zawartego w nich projektu reformy nie stanie się rynną, pod którą dostaną się poloniści z deszczu.

Długie i szerokie rozważania inicjatora polemiki obracają się zasadniczo koło trzech punktów. 1. Polonistyka wymaga reform. 2. Nauka o literaturze w uniwersytecie żyje pod presją językoznawców — należy ją wyławić. 3. Reforma studiów polonistycznych powinna iść w kierunku związania ich z życiem, wychowywania przyszłych nauczycieli oraz równouprawnienia z językoznawstwem przedmiotów pobocznych: socjologii, etnologii, filozofii, psychologii, historii kultury, estetyki i t. d.

Co do punktu pierwszego. Reforma jest potrzebna nie tylko ze względów, przytoczonych przez prof. Kolaczkowskiego. Wyprawdzie rozporządzenie M. W. R. i O. P., dotyczące programu studiów polonistycznych, nosi datę dość późną — 26. III. 1926 r. i jest już reformą w stosunku do ustaw z r. 1920 i 1924, to jednak, jako owoc czasów, w których Polska dopiero się ustalała, z konieczności po okresie próby i praktyki życia, powinno ulec rewizji.

Co do punktu drugiego. Bez obawy przesady można powiedzieć, że wszystkie miedomagania polonistyki przypisuje autor językoznawcom, nie przebiegając zresztą zbyt daleko ani w formie ani w treści zarzutów. Rozpatrzmy sprawę dokładniej. Rozporządzenie z 1926 r. nie jest, gdy mu się bliżej przyjrzeć, tak bezsensowne i „nieżyłowe” u podstaw. Cokolwiek się mówi o przecięciu studentów gramatykami — zasada pozostaje niewzruszona: język jest tem, w czym się realizuje dzieło literackie. Ministerstwo nie było obojętne i nie mogło wiedzieć (czy uświadamiali sobie to jasno wówczas sami profesorowie literatury?), że język, którym zajmują się nasi językoznawcy, okaże się nie tym językiem, który jest potrzebny badaczom poetyckich utworów. Należy zwrócić uwagę jeszcze i na to, że zakres i wysokość wymagań na egzaminach oraz plan prac na seminarjach pozostawiono całkowicie uznaniu profesorów. Dlaczego językoznawcy nie mieli korzystać z przysługujących im praw? Twierdzi dalej prof. Kolaczkowski, że polonista, wstępujący do uniwersytetu, przez dwa pierwsze lata studiów tkwi w językoznawstwie z uszczerbkiem dla nauki o literaturze. W istocie rzeczy, sprawa tak wygląda, lecz... teoretycznie. Ustawa faktycznie określa, że warunkiem dopuszczenia do ćwiczeń na wyższym seminarjum literackim jest dwuletni czynny udział w niższym seminarjum literatury oraz złożenie egzaminu z gramatyki historycznej, który można zdawać po roku seminarjum językowego; warunek zaś dostania się na to seminarjum stanowi colloquium z greckiego, egzamin z gramatyki opisowej polskiej i języka starocerkiewnosłowiańskiego, złożone po roku ćwiczeń na proseminarium językowym. Ściśle więc biorąc, ustawa każe studentowi dwa lata „siedzieć na języku”. Lecz o przyjęciu lub nieprzyjęciu na seminarjum literackie decyduje zawsze i tylko profesor literatury, w zakresie zatem jego uprawnień leży, nie zwracając uwagi na obojętną dlań gramatykę historyczną, zaliczyć w poczet członków wyż-

szego seminarjum literackiego jedynie na podstawie dwu lat ćwiczeń w niższym seminarjum literackim; nadto ma już prawo po dwu latach wymagać od studenta złożenia egzaminu t. zw. „mniejszego” z polskiej literatury. W takim stanie rzeczy gramatykę historyczną może polonista odsunąć w nieskończoność, a studja językoznawcze i literackie rozłożyć, jak mu się podoba. Nie można tego oczywiście uważać za „bezprawie”, trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że w ramach ustawy naukowej życie poszczególnych uniwersytetów rozwija się swobodnie, często całkowicie odmiennie. Selekcja studentów zależy w gruncie rzeczy od profesorów, ustawa tylko wytycza najogólniej kierunek. I tak też wygląda faktyczny stan rzeczy na polonistyce, nie zaś tak, jak go maluje w ponurych barwach prof. Kolaczkowski. Bodajże w żadnym uniwersytecie prof. literatury nie „gwałtuje” o gramatykę historyczną (...przypuszczam, że sam prof. Kolaczkowski także), do fenomenów zaś należy student, który po drugim roku złożył egzamin z tego przedmiotu. Prawda, że nie zawsze, lecz przeważnie, naukowa praca polonistów w pierwszych dwu latach, głównie zaś na pierwszym roku, skupia się koło języka, nie z winy językoznawców jednak, ani z powodu owej nieszczęsnej gramatyki historycznej, lecz dlatego po pierwsze, że literaturę można składać dopiero po dwu latach niższego seminarjum literackiego, po drugie zaś dlatego, że studenci rozumują w drodze najmniejszego oporu: „Odwalić gramatykę — a potem literatura”. Wiemy, jak łatwo ten stan rzeczy może zmienić zarówno student jak i profesor. Punkt rozporządzenia o gramatyce historycznej należy oczywiście usunąć, nie dlatego jednak, że hamuje pracę nad literaturą, lecz ponieważ jest „życiowe”, praktycznie nieprzydatne.

Dalszy zarzut prof. Kolaczkowskiego w stronę językoznawców: Nie zajmują się „językiem artystycznym” (zapewne „artystyczny” znaczy poetycki, literacki?). Zostawili to profesorom historii literatury, którym w tej dziedzinie „nie dali żadnych podstaw”... „poco w takim razie przypisywać językoznawstwu rolę studiów podstawowych?” Zatem prof. Kolaczkowski twierdzi (jakże słusznie!), że w studjach nad literaturą przedmioty podstawowe muszą być z nią związane, muszą posiadać pewną literacką specyficzność. Zapamiętajmy to sobie!

To jeden punkt — całość jednak rozumowania i „wnioski” nie posiadają głębszego uzasadnienia. „Gramatycy” rzeczywiście zajmują się przedewszystkiem językiem mowy żywej, tym, który poeta przekształca i konstruuje w styl i język utworu literackiego. Są to niewątpliwie dwa różne systemy językowe, różnica zasadnicza wypływa z odmienności ich funkcji. Niema tu jednak przepaści. Żeby do głębi odczuć i zrozumieć język jakiegokolwiek utworu poetyckiego i uchwycić te charakterystyczne różnice funkcjonalne, trzeba dobrze znać język mowy potocznej. W tym sensie studja gramatyczne i to czysto językowe jak: fonetyka, semantyka, składnia muszą być podstawą studiów nad literaturą. Jeszcze jeden moment: Specyficzność języka poezji wiąże się nierozdzielnie z zagadnieniami tematu, motywów, kompozycji, rytmiki poszczególnych utworów, z zagadnieniami, któremi z natury swego zawodu musi zajmować się badacz literatury — jasne więc, że do niego właśnie, nie zaś do językoznawcy należy analiza języka dzieł poetyckich.

Język „gramatyków” nie przestaje być podstawą, lecz podstawy języka literackiego muszą określać profesorowie literatury. Czas, nie oglądając się na innych, na niko-

go nie składając winy, zabrać się, komu należy, do badań nad literaturą i związanymi z nią literackimi problemami.

I jeszcze — w nieskończonym łańcuchu oskarżeń dalszy zarzut w stronę „nieuczonych gramatyków”. Są to „snohy naukowości” o „dlubogólnych aspiracjach”, niezdolni do syntez, ciałni kolekcjonerzy nie nikogo nieobchodzących drobiazgów, konsumenci pak zadrukowanego papieru „i to koniecznie zabytków”. Jak łatwo z talentem prof. Kolaczkowskiego, ośmieszyć kogoś tanim kosztem!! Doprawdy, polonista, poświęcający się badaniu stylu jakichś wczesnych utworów (wiadomo, co to za „dlubogolgia” — hałać styl!!) nie byłby mniej komicznym obiektem. Ale już stokrój lepiej, gdy przeciętny student zbiera i gromadzi materiały (niechże bęła i szczegółiki), aniżeli, gdy tworzy, żal się Boże „syntezy” i „uogólnienia”! Nie krzyczymy zbyt głośno, byśmy od językoznawców nie dostali słusznego dobrego wcierniania za nasze „rzuty oka”, „myśli przewodnie”, „życiowe problemy”, ideologie, wodologie i detologie. Musimy coprawdy zapaść na „snohizm nauki”, inaczej biada naszym zagadnieniom miłostek, zdrad, cierpień osobistych i ogólnoludzkich Mickiewicza, normalności fizjologicznych Słowackiego i t. p.

Dla uniknięcia nieporozumień muszę zaznaczyć, że poświęcam się tylko i wyłącznie literaturze, z „gramatykami” żyłam zarówno w praktycznej jak i teoretycznej niezgodzie. (Wydaje mi się, że w obecnym traktowaniu języka zbyt małą uwagę zwraca się, że szkoda dla wielu zagadnień, na momenty ekspresji estetycznej w żywej mowie, grające, jak sądzę, niemają rolę w jej rozwoju). W swych artykułach prof. Kolaczkowski przekroczył miarę, obwiniając o wszystko złe językoznawców, upraszczał, a niejednokrotnie niezgodnie z faktycznym stanem rzeczy oświatlał problemy.

Punkt trzeci: Przejdźmy do pozytywnych momentów w projekcie reformy inicjatora dyskusji. Program swój opiera on na kilku założeniach, uważając je prawdopodobnie za zbyt oczywiste, by wymagały dalszego uzasadnienia. W streszczeniu wyglądają one następująco: „Na polonistyce w większości wypadków wychowuje się przyszłych wychowawców... „i ten cel jest dziś najważniejszy”... Ponieważ zaś „czysto literacka” nauka o literaturze jest fikcją”, bo „fakty literackie są zawsze tylko treściami pięknymi, moralnymi, psychologicznymi, historycznymi, społecznymi”, literatura więc jest „zbiorem wartości i idei, a polonista ich propagatorem”. Konsekwentnie w studjach nad literaturą przedmiotami pomocniczymi, równouprawnionymi z językoznawstwem muszą się stać: socjologia, etnografia, historia kultury, psychologia, estetyka i t. d. Ponieważ zaś współczesny student „nie wyniósł żadnej wyższej kultury z najbliższego rodzinnego środowiska... nie ma żadnych zamiłowań” — naczelnym postulatem polonistyki jest „wychowywać... nie zaczynać od kształcenia formalnego... lecz zaprawiać do problematyki przez podsuwanie zagadnień dostępnych, „nających związek z życiem” (podkr. aut.). Na ewentualny zarzut, że takie studja nie byłyby naukowe, autor odpowiada odrazu, iż „kult czystej nauki ma także swe podstawy w pewnym określonym poglądzie na świat”. Kult ten „snohom nauki” daje podejrzane sposobności do wyzicia nieciekawych instynktów i pasyj.

Otóż trzeba odrazu stwierdzić, że dyalemat, czy uniwersytet ma „produkować” przyszłych badaczy czy wychowawców, jest problemem pozornym i sztucznym, ponieważ w obu wypadkach musi być przecież

KAMIENIARZE

Z miasteczka, drogą, w południa skwarze,
jadą, jadą kamienniarze;
za tydzień gotów będzie Marjański gościniec —
trzeba go poprawić — to go nie ominie.

Marja Panna przed kościołem
błyśnie jutrzni jasnym czołem,
a domy w stado jagniątek zamienione
gluchy staruszek Donat poprowadzi z wieżycy dzwonem.

Chłopcy godni, kamienniarze,
wszystko z koszów do kobiałek wysypują w darze
i tańczą w karczmie, gdzie harmonja gra!
Karczmarza im na odjezdne pocałunek da...

ZIEMIA I RAJ

Gdzieś i kiedyś gorzała między Nim
a nami
tajemnica rozkwitłych pagórków
otoczonych
dolinami.

W obliczu Boga czysty, przeświecisty cud
gorzał,
dogorywał,
przed śmiercią śpiewał.

W obłokach wisiała ziemia,
różowej nagości
panna,
Umierały arumy po drogach
wierności
w szmaragdowych lez fontannach.

A niektóre litery pod koniec udręki
gorzały, dogorywały,
wreszcie śpiewały:
miłość...

PIEŚŃ

Przy tobie głęboko
śpią
eolskie struny.
Na rzece Orinoko
brzmiały
przewoźników dumy.

Cisz instrumentem
maj
w łódeczkach kwietnych.
Święci, święte —
raj
aniołów błędnych.

VITĚZSLAV NEZVAL

Spolszczył JÓZEF CZECHOWICZ

* Artykuł dyskusyjny.

¹ Marcholt, Nr. 1.—Kurjer Poranny od 11. I. do 14. I. 35.

41003 / 46 / 615

naprzód *polonista*, a nie nauczyciel ani wychowawca lub hadacz „wogóle”; — nim znacznie pracować, musi coś umieć, musi posiadać jakiś zapas wiedzy i to polonistycznej, ściśle specjalnej. Nie widzę powodu, dla którego ta wiedza ma być już w uniwersytecie preparowana dla szkoły. Istnieje ona przecież, jako pewien zapas wiadomości, które należy opanować. Stosowność zdobytych wiadomości w badaniach naukowca lub pedagoga jest zgola nowym zagadnieniem, rozwiązaniem częściowo (może niewystarczająco) przez państwo w ten sposób, że przyszłego nauczyciela i wychowawcę obowiązuje egzamin pedagogiczny i dwa lata praktyki. Być może, iż trzeba poddać kontroli i reformie organizację pedagogiki, lecz dlaczego studja specjalne w uniwersytecie mają się pod przewagę stokroć niebezpieczniejszą — pedagogów? Wyżyskanie wiedzy dla celów specjalnych musi być poprzedzone jej znajomością; co zaś wybrać dla szkoły, to określają niemal drobniawo programy. Reformować należy zatem pedagogikę w kierunku rozwiązania w niej zagadnień dydaktyki przedmiotów specjalnych; — być może potrzebne są w samym uniwersytecie poświęcone temu katedry, lecz dlaczego studjum polonistyczne ma stać się eksploatowanym terenem?

A teraz sprawa kultu czystej nauki, który autor dla swej wygody zestawia ze szkolnictwem i umysłową ciasnotą, widząc jego genezę także „w pewnym określonym poglądzie na świat”. Ściśle wzięwszy, jedynie naiwna wiara w stałość, pewność zdobytych nauk da się wywieść z pewnego poglądu na świat, natomiast dążenie do zaspokojenia głodu wiedzy o przedmiocie, wiedzy choćby tymczasowej, lecz w miarę możliwości ludzkich niezależnej od wiecznie zmiennego „życia” — nauka tak pojęta jest oczywiście czemś ponadczasowym, niezwiązanym z pewnym „określonym poglądem na świat”, czemś tkwiącym w człowieku wraz z innymi pragnieniami zawsze. Wiele „nic nikogo nieobchodzących drobiazgow” posunęło świat naprzód i otwierało perspektywę na nowe „życiowe problemy”. Nie trzeba być snobem, by mieć kult dla nauki. Dążę do wykazania, ile w różnorodnych „chwytach” polemicznych prof. Kołaczkowskiego mieści się słów bez pokrycia, chcę oprócz tego tu od razu stwierdzić, że za wszelką cenę musimy się starać, by uniwersyteckie studja nad literaturą miały charakter naukowy.

Wprawdzie autor uważa (nie wiadomo, na jakiej podstawie), że „czysta nauka o literaturze jest fikcją”, twierdzi, iż „nie rozumie o co chodzi”, gdy mowa o potrzebie pracy nad literaturą metodami literackimi, lecz jest to chyba tylko zwrot retoryczny; przypomnijmy sobie teraz, jak od badań językoznawczych wymagał, by — jako podstawa studjów nad literaturą — miały charakter literacki!

Zdumiewa nas zatem forsowany przez prof. Kołaczkowskiego projekt wprowadzenia, jako przedmiotów pobocznych i podstawowych na polonistycę, etnologię, socjologię, historię kultury i t. d. Tak samo jak prof. Kołaczkowski pyta językoznawców — tak i my mamy pełne prawo go zapytać, w jakim stosunku dziedziny te pozostają do literatury, że pretendują do godności nauk pomocniczych? Bo przecież nie jest wylumaczeniem uwaga, iż „dzieła literackie są treściami” (co to znaczy?) psychologicznymi, socjologicznymi, lub jeszcze na okrasę „pięknymi” (znam literackie dzieła całkiem niepięknymi!). Są to przedewszystkiem „treści” literackie i tem się różnią od odpowiednich dzieł specjalnych. „Literackość”, jako konieczna według prof. Kołaczkowskiego cecha w badaniach językoznawczych, logicznie biorąc, musi chyba obowiązywać wszystkie przedmioty dla literatury poddawane. Słusznie stwierdza autor, że medycyna nie może się obyć bez chemii np., lecz zapomina, że wszelkie choroby są zaburzeniami w chemicznych reakcjach organizmu człowieka — słusznie więc chemia jest nauką podstawową w medycynie, bo jest nauką jej pokrewną, jednorodną (podobnie rzecz ma się z innymi naukami, jak fizjologia i t. p.); znamy stosunki między nimi — można rzec, że medycyna jest „chemiczna” a chemia „medyczna”. A na czem polega jednorodność literatury i socjologii?

Coż nam wyjaśni najwnikliwsze psychologiczne studjum o skąpstwie i nasza najsubtelniejsza wiedza o skąpych ludziach, gdy chcemy zrozumieć, w czym leży istota skąpca Moliera lub Mauriaca, poza jałowem stwierdzeniem, że są oni „życiowo prawdziwi”, które zresztą będzie fałszem, bo życie posiada miliony odmian skąpców, a drugiego Harpagona — identycznego — nie spotkamy! A może jest on, był, lub będzie jedną z tych odmian? Czy jednak istnieje jakiś Harpagon poza ściśle literacką koncepcją utworu?

Nim więc psychologja będzie mogła zostać nauką *podstawową* w badaniach literackich, musi nam prof. Kołaczkowski określić ich wzajemne stosunki.

Dalszym jego projektem jest związanie studjów polonistycznych z życiem. Powta-

da: „...każdy powinien rozumieć, że problemy psychologiczne, filozoficzne, etyczne, estetyczne, socjologiczne czy historyczne, mają dużo większą doniosłość życiową, niż bardzo specjalne problemy gramatyki, więc morfologii, fonetyki i t. p.”. Obradujące w Krakowie komisje w sprawie ortografii są wystarczająco przekonywującym argumentem, że „problemy gramatyki” nie są „bardzo specjalne” i „niezwiązane z życiem”; niestety jednak zauważyć, że nauki filozoficzne, estetyczne, etyczne wogóle „doniosłości życiowej” nie posiadają, jako całkowicie prawie abstrakcyjne. Prof. Kołaczkowski radzi polonistom zająć się ogólnymi problemami filozofii sztuki: „Czem jest literatura, czem historia literatury, czem krytyka, czem jest sztuka, czem język?” — Trudno o bardziej abstrakcyjne, a powiedzmy, jałowe problemy! Wymagają one olbrzymiej kultury i dyscypliny intelektualnej, są przecież bardzo „specjalne”!

A co mamy rozumieć przez ów związek z życiem?

Ktorem życiem? Współczesnym? Dlaczego życie, nie zaś coś innego ma stanowić kryterjum badań literackich? Dlaczego mnie prof. Kołaczkowski zmusza do popelniania błędów mieszanca dziedziny i metod?

Dalej: słusznie zastrzega się prof. Kołaczkowski, że nie odkrywa rzeczy nowych. Odwrotnie — akceptuje stare, których gorzkie, wątpliwe owoce spożywać musimy dotychczas. Wystarczy wziąć jakikolwiek podręcznik literatury, by spostrzec tam owe nieszczesne „problematy” socjologiczne, kulturalne, psychologiczne... a raczej, wskutek pomieszania rzeczywistości życia z rzeczywistością literatury — pseudopsychologiczne, pseudosocjologiczne etc. W studjach nad poszczególnymi dziełami znajdujemy także zagadnienia literackie pod wstydlwym tytułem w „zakochaniu”: „język i styl”. Dzięki takiemu traktowaniu weszli do literatury obok poetów pisarze i uczeni, jak Modrzewski i Kopernik! —

oraz dzieła tego rodzaju, co *Księgi narodu i pielgrzymstwa*. I ten stan rzeczy chce prof. Kołaczkowski akceptować, ba! zalecać jako program studjów uniwersyteckich!

Jeśli weźmiemy pod uwagę i ten jeszcze moment, że z racji niejasnego stosunku proponowanych przez niego nauk do literatury, bardzo wiele dotychczasowych prac o utworach poetyckich cechuje niesłychany werbalizm, brak dyscypliny intelektualnej, gadanie o wszystkim i o niczym, brak choćby cienia kryterjum sprawdzalności wygłaszanych sądów — zrozumiemy łatwo, czem grozi polonistyka w koncepcji tego znakomitego przecież krytyka! Wiemy, że jego własne studja są przenikliwie, ciekawe, często rewelacyjne, ale czy „życiowe”? Przyczem z konieczności „psychologizowanie” na temat jakiegoś poety w związku z jego utworami nawet u niego pozostawia dużo do życzenia! Pomyślmy, jak takie studja będzie preparował przeciętny student. I tak już mętne poglądy na świat, „życiowe przekonania” i ideologie przeróżnego autoramentu, żerujące bezkarnie na poetyckiej twórczości (rok poświęcony Wyspiańskiemu i Mickiewiczowi!), zabily jasny, krytyczny o niej sąd.

Nie! Stanowczo zdrowszy jest naukowy snobizm językoznawców, ich szęściolarstwo, niż błaga socjologicznych, psychologicznych i t. d. badań „literackich”.

Zrozumiałe, że student polonistyki, jak każdy humanista, musi posiadać ogólne wykształcenie filozoficzne, historyczne, społeczne i t. d., lecz tylko tyle. Nauka o literaturze musi być *primo*: nauką, *secundo* — nauką o literaturze; nauki podstawowe muszą wykazać się pokrewieństwem z nią, muszą być literackie, czego od językoznawstwa żąda tak natarczywie prof. Kołaczkowski.

Trudno tu wylumaczyć pokrótce, w czem tkwi istota nauki o literaturze (bądź o tem mowa gdzieindziej), różne mogą być na to poglądy, częściowo tylko roz-

wiązuje kwestję poetyka, wydaje się jednak oczywiste, że jeśli istnieje przedmiot literacki, nie może być fikcją literacka nauka z literackimi metodami. Język, styl, kompozycja, rytmika i szereg innych literackich stron dzieł poetyckich wyjaśnić mogą całkowicie, dlaczego np. twórczość Sienkiewicza, pomimo niewielkich wartości zawartych w niej pierwiastków intelektualnych jest fascynująca, wartościowa i „życiowa”. „problemy” zaś Orzeszkowej, zrealizowane w słabych utworach, ciężkie, nudne, „nieżyciowe”. Czy nagie, abstrakcyjne „problemy” Szekspira fascynują, czy też jego dzieła są tak sugestywne, że je potrafią zachować na zawsze w świeżości?

Nie mam zamiaru bronić językoznawców, niejednym momentem w wywodach prof. Kołaczkowskiego przyda im się najprawdopodobniej — wadliwość studjów nad literaturą nie jest jednak ich winą ani nawet winą dość liberalnej ustawy. Sami profesorem i studenci polonistyki (literackiej) muszą zdać sobie sprawę z przedmiotu, zakresu, granic i możliwości swojej dziedziny, zamiast pozwalać, by oddawała się ona łatwo coraz to nowym i nieokreślonym naukom.

Trudno nazwać „reformą” usunięcie z programu języka greckiego i połączenie staroecerkiewnoślowińskiego z gramatyką polską, natomiast włączenie do programu historii kultury. „Zamienił stryjek”... Trzeba równie liberalnie, choć oczywiście dokładniej i konsekwentniej niż rozporządzenie z 1926 r., określić stosunek przedmiotów pobocznych do głównego, t. j. *nauki o literaturze*. To, co dla prof. Kołaczkowskiego jest fikcją, dla wielu stanowi sprawę życia i śmierci; nie możemy też przyjąć niejasnego i sprzecznego często projektu reformy w jego ujęciu. Nim zaczniemy uczyć lub hadać, chcemy coś umieć, chcemy poznać problemy najbardziej dla nas życiowe: naukowe problemy literackie. Chcemy być „snobami nauki” w uniwersytecie.

MARJA RZEUSKA

CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY A ZAGADNIENIE ŚMIERCI

Człowiek współczesny żyje pośpiesznie i gorączkowo. Nie ma on czasu na skupienie się, na życie wewnętrzne i kontemplację. Zbyt wiele wrażeń pochłania jego uwagę, zbyt wiele szuka on sam zepsutym zmysłem swego pożądania. Pograżony całkowicie w wirze szybko przemijających zjawisk, zachcianek, interesów, nie myśli on wcale o swojej duszy i ledwo powierzchnią swego „ja” dotyka zdarzeń i prądów życia. Gdy Grek starożytny upatrywał sens swego istnienia w upodobnianiu się do boskiego wszechładu, w urzeczywistnianiu miary i wewnętrznej harmonii, gdy człowiek średniowieczny usiłował uzgodnić swe myśli i działania z Boskim porządkiem i współpracować z Bogiem w wielkim procesie zbawienia, człowiek nowożytny, ufając już tylko swemu rozumowi, rozum ten utożsamiał ostatecznie z jego wytworami i operacjami. Zrozumiałem stało się dla niego tylko, co sam stwarza.

W ten sposób marzone niegdyś przez Bacona *regnum hominis* (panowanie nad światem) przeobraziło się w czasach ostatnich w panowanie wytworów ludzkich nad człowiekiem. Świat przestał być dla człowieka współczesnego czemś bliskim i organicznym z nim związanym, czemś, co się wchłania wszystkimi porami duszy, co rodzi pytania i troski, co niepokoi, ale i zachwycia, co bardziej lek, ale i przywiązuje — jest on już dlań tylko terenem zimnej i wyrachowanej pracy, przedmiotem wymiany i rachunku, sztywnym mechanizmem, który się jedynie wyzyskuje dla zdobycia nowych środków, doznania nowych wrażeń. Przestał on też być złożoną, pełną sensu całością, w której człowiekowi danem jest żyć jako jednemu z jej członów, a stał się chaosem elementów najróżnorodniej, i nieraz w sposób sprzeczny, porządkowanym.

Wraz z tem zagubieniem sensu świata nie umie człowiek współczesny odnaleźć i sensu własnego życia. Zatrwożony o podstawy swego duchowego istnienia, zaczyna on szukać, jakkolwiek poomacku, rozmaitych dróg celem przywrócenia dawnej zachwianej równowagi. W filozofii współczesnej poczyną też zwolna zwoleńczać poglądy, iż człowiek nie jest rzeczą wśród innych rzeczy, którą zrozumieć można przy pomocy struktury tychże rzeczy jako mechanizm fizyczny, biologiczny czy psychologiczny, iż nie jest on również, jakby się może zdawało, istotą pojedynczą i odosobnioną, ale jest on, przeciwnie, organizmem wrosłym w swe stosunki życiowe, tworem duchowym nierozdzielnie związanym z pewnymi sferami wszechświata i z zasadą metafizyczną bytu.

Filozofja współczesna, podejmując zagadnienie antropologiczne, jakie jej narzuca

w chwili obecnej kryzys wszystkich form i dziedzin kultury, zajęła się również kwestją śmierci. Oba te bowiem zagadnienia wiążą się ściśle z sobą i pierwsze z nich nie da się rozwiązać bez rozpatrzenia drugiego, bez zbadania, czem jest śmierć w swej istocie i jakie jest źródło naszej wiedzy o niej.

Człowiek dzisiejszy — zauważa Maks Scheler w swojej rozprawie *pośmiertnej p. i. Tod und Fortleben* — nie boi się śmierci, nie żyje w obliczu śmierci i nic nie wie o swej śmierci. Śmierć przestała być dla niego kształtującą i kierującą mocą, a jest tylko konajczywą *k a t a s t r o f ą*. Mechanistyczny pogląd na świat, upatrując w organizmie jedynie proces fizyko-chemiczny, czyli, co na jedno wychodzi, maszynę, musiał tem samem doszukiwać się przyczyny śmierci w czemś zewnętrznym, co puło ową maszynę i zatrzymywało jej ruchy. Ponieważ atoli zasadniczo każda maszyna da się naprawić, przeto śmierć jest tylko zdarzeniem przypadkowym i nieistotnem, które czasem postęp medycyny potrafi unicestwić. O tem tak silnie był przekonany już Kartezjusz, że gdy nadeszła do Paryża wieść o jego zgonie w Szwecji, nie chciało temu wierzyć. Dziś również nie brak lekarzy, którzy głoszą, że nienależy granicy naturalnej życia, którejby wiedza medyczna i sztuka lekarska nie zdołały kiedyś raz na zawsze usunąć.

Nowy typ człowieka, jaki wytworzył mechanizm współczesnego życia, stłumił w sobie całkowicie myśl o śmierci, odrzucając ją od siebie jakby jakąś rzecz dawno przezwyciężoną. Nieograniczony popęd do pracy i wytwórczości, licząc się z tem tylko, co się da zważyć i zmierzyć, uważając za dowolne i subiektywne wszelkie jakości i wartości, narkotyzuje go w sposób szczególny przeciw idei śmierci i ludzi mirażem postępu, który stał się dlań surogatem wiecznego życia. Rzucanie się w wir zajęć, czynności, interesów, nie dla jakichś celów wartościowych i ponadczasowych, lecz dla samej czynności, stało się nową medycyną, która pozwala żyć iluzję nieustannego trwania życia i w niej upatrywać bezpośrednią podstawę egzystencji ludzkiej.

Tymczasem śmierć jest nietylko poważną i niezaprzeczną rzeczywistością — jest ona, zdaniem Schelera, *c z y n n i k i e m k o n s t y t u t y w n y m d o s w i a d c z e n i a l u d z k i e g o*. Zazwyczaj sądzi się — i ten pogląd wypowiada również Bergson w swoim ostatnim dziele *Les deux sources de la morale et de la religion* (Paris 1932, str. 136), iż nasza wiedza o śmierci jest poprostu wynikiem zewnętrznego, na obserwacji i indukcji opierającego się doświadczenia o umieraniu innych ludzi i

otaczających nas istot żyjących. Według tego poglądu człowiek, któryby nigdy nie widział istot umierających ani o nich nie słyszał, w razie zupełnej samotności swego życia, nie posiadałby żadnej wiedzy o śmierci wogóle, a swojej w szczególności. Pogląd ten odrzuca Scheler jako całkowicie błędny.

Zdaniem jego śmierć należy do istotnych pierwiastków naszego doświadczenia życiowego, stanowiąc formę, w jakiej dane jest wszelkie życie. Jeśli w pewnym historycznym okresie śmierć wydaje się być tylko przypadkowym doświadczeniem, to przyczyną tego faktu szukać należy w szczególnych okolicznościach, które naturalną pewność śmierci w świadomości ludzkiej tłumią. Toteż dialektyka traci słynna formuła Epikura: „Pocóż mam się obawiać śmierci? Niema jej, gdy ja jestem, a kiedy śmierć jest, to przecież mnie niema!”.

Prawdopodobną czyni śmierć już samodowiadzenie „s t a r z e n i a s i e”. Pomijając wiążące się z tem zjawiska zanikania własnych sił, dostrzega człowiek w przeżyciach chorób czy zachorowań jakieś czynniki, które w razie swego dalszego rozwoju musiałyby mu nasunąć wyobrażenie o końcu jego życia. Niejednokrotnie też doświadcza on silnej potrzeby snu i spoczynku, których musi szukać, chociażby przez to miał stracić połowę swego życia. Przecież doświadczenia te starzenia się, choroby i snu nie wstarczają dla wyjaśnienia wiedzy człowieka o śmierci. Wszak podobny rytm życia mógłby się nigdy nie kończyć; skądże zatem wie człowiek, iż się skończy?

Otóż struktura jakiegokolwiek fazy procesu życiowego i wewnętrznej o nim świadomości jest tego rodzaju, iż w bezpośrednich aktach ostrzegania, przypomnienia i oczekiwania ujmujemy daną treść w trzech jednorodnych wymiarach: teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Każde ujęcie rzeczy, procesu, ruchu, zmiany, każde wewnętrzne doświadczenie naszych przeżyć psychicznych mieści w sobie wszystkie te trzy wymiary i należące do nich akty. Że posiadamy przeszłość i mamy przyszłość, o tem nie wnioskujemy ani nie sądzimy na podstawie symbolicznych funkcji „obrazów pamięciowych”, czy wyobrażeń przyszłości. Ale w każdym niepodzielnym momencie naszego procesu życiowego przeżywamy i widzimy „coś przemijającego” i „coś nadchodzącego”. Co więcej: treść bezpośredniego wspomnienia, jak i treść bezpośredniego oczekiwania, oddziałują na nasze teraźniejsze przeżycie i w tem oddziaływanie są nam one już dane, a nie dopiero jako wyobrażenia. Obiektywny czas, którym mierzymy rzeczy i zdarzenia, nie ma dla struktury istoty żyjącej żadnego znaczenia. Jej akcja dramatyczna nie toczy się ho-

LOS Y HISTORJI W Z. S. R. R.

wiem w obiektywnym czasie, i niema żadnego sensu ustalanie jej momentu czasowego, ponieważ w każdym niepodzielnym punkcie czasu cała jej treść znajduje się zogniskowana, jakkolwiek w różnym zakresie swoich trzech wymiarów. Podczas gdy zakres treści w wymiarze przeszłości i jej przeżyte bezpośrednie skutki ustawicznie wzrastają, maleje równocześnie zakres treści w wymiarze bezpośredniej przyszłości, teraźniejszość zaś, naciskana coraz mocniej przez oba powyższe zakresy, przedstawia z każdym momentem mniejsze możliwości przeżyć. Dla dziecka teraźniejszość jest jasnym i szerokim kręgiem najróżnorodniejszych treści istnienia. Chłopcy i młodzieńcy przyszłość ukazuje się jako rozległe i pogodne, w nieskończoność się rozciągające pole wszelkich możliwości, które kreśli przed nim życzenie, pożądanie i fantazja. Ale w miarę jak mijają życie, czujemy, że zmniejsza się ów rozmiar czekających nas jeszcze przeżyć, a wraz z tem zmniejszaniem się ich bogactwa i pełni nacisk bezpośrednich minionych chwil staje się coraz większy.

Dostrzegł to już Bergson i wyraził obrazowo, iż „teraźniejszość jest tylko nieuchwytnym postępnym przeszłości, wgrzyżającym się w przyszłość” (*Materia i pamięć*, str. 152). Struktura zatem naszego życia wewnętrznego wydatnia się w o w e m c i a g ł e m p o z e r a n i u p r z y s z l o ś c i p r z e z p r z e s z l o ś ć, w powiększaniu się zakresu treści minionych kosztów mających nastąpić, w potęgowaniu się świadomości wzrastającej różnicy pomiędzy obydwojma wymiarami.

To ciągle faktyczne wzrastanie różnicy, którego kierunek tkwi w każdym niepodzielnym momencie naszego życia, stanowi istotę starzenia się. Starzenia się nie można więc określać samym tylko ciągiem trwania w obiektywnym czasie. Ścisłe bowiem rzecz biorąc, rzeczy martwe nie starzeją się, a wiek człowieka, podawany w liczbach, nie ma nic wspólnego z jego naturalnym starzeniem się. To też słusznie mówimy o kimś, że jest młodszy, niżby to wynikało z jego wieku. Nawet człowiek, któryby nie znał daty swego urodzenia lub lat swego życia, czy nie widział oznak zewnętrznych swego starzenia się, wiedziałby o niem przecież dzięki właśnie przeżywaniu zmian, zachodzących ustawicznie w wyżej opisanych procesach życiowych.

Z tego wszystkiego wynika, że śmierć nie jest bynajmniej przypadkiem tylko doświadczeniem, podobna do niespodziewanej przeszko, o którą w ciemnościach się potykamy. Życie nasze jest dla nas wewnętrznie w każdym momencie czasu obecne jako pewna zamknięta całość, na której tle zjawiają się nasze konkretne przeżycia; dlatego śmierć jest istotnym pierwiastkiem naszego wewnętrznego doświadczenia. Jej intuicyjna pewność towarzyszy całemu naszemu życiu, jako część składowa wszystkich jego momentów.

Pomimo to stopień jasności i wyraźności idei śmierci, jak i miara zainteresowań dla jej treści może być faktycznie w różnych czasach i u różnych ludzi rozmaita. Różne epoki historyczne wykazują większe lub mniejsze zaciemnienia swojej wiedzy o śmierci, a to z powodu wyparcia i stłumienia idei śmierci. Wyparcie idei śmierci z świadomości jest w pewnej mierze ogólnym i naturalnym zjawiskiem ludzkiej natury, dla jej celów życiowych wielce korzystnym. Zdaniem Bergsona wiara religijna w dalsze życie pośmiertne jest właśnie taką reakcją obronną natury przeciwko idei konieczności śmierci (por. *Deux sources*, str. 137). Stłumienie to umożliwia nam oddanie się z większą powagą naszym ziemskim troskom i pracy, i temu wszystkiemu, co służy sprawom i zachowaniu naszego indywidualnego życia. Dlatego to przybiera ono na sile, w miarę jak zbliżamy się faktycznie do śmierci. Tem tłumaczy się też owa, jak ją Scheler nazywa, „metafizyczna lekkość i oświecenie”, która nie sobie nie robi z oczywistości idei śmierci. Istota bowiem, która w każdym momencie swego istnienia przeżywałaby głęoko swoją oczywistość śmierci, żyłaby i postępowałaby całkiem inaczej, aniżeli normalny człowiek.

Wyparcie idei śmierci u człowieka współczesnego jest atoli zupełnie różne od owego całkiem naturalnego o niej zapominania. Wynikło ono mianowicie z owej fałszywej postawy człowieka, uważającej za rzeczywiste to tylko, co się da obliczyć, wypracować, wytworzyć. Ów pragmatystyczny iluzjonizm, fałszując naukę o życiu i śmierci, nie dostrzegł tego, że śmierć jest zjawiskiem absolutnym, związanym z wszelkimi formami życia, a wpływającym z wewnętrznego wyczerpania się twórczych czynników życiowych.

Kryzys współczesny, zdzierając maskę z tego iluzjonizmu, ukazuje prawdziwe oblicze kultury, która dusi się w ciasnych formach swoich jednostronnych założeń.

LUDWIK CHMAJ

Pozycja historji jako nauki niezależnej pozostała w państwie sowieckim po r. 1917 narazie bez zmian. Była to jednak tolerancja pozorna. Historyk rosyjski M. N. Pokrowski wraz z kilku towarzyszymi rozpoczął krytykę „burżuazyjnych” metod historycznych jako nienaukowych, dowodząc przytem, że tylko marxizm umiał wskazać jedyną prawdziwą naukową metodę badania faktów historycznych. Kilku historyków uległo przesładowaniu z motywów nie zawsze jasnych, jednakże rząd sowiecki nie zajmował jeszcze stanowiska zasadniczego w stosunku do dawnej szkoły historycznej i metod jej badania.

Okres aż do roku 1929 uważa Wostokow, historyk-emigrant, w artykule w *Le Monde Slave* z r. 1933, za pomyślny w historjografji rosyjskiej. Wyszło wiele prac nowych, metody wprawdzie przystosowywano przynajmniej „mechanicznie” do wymagań marxizmu, lecz naogół było dużo poszukiwań poważnych. Była to zasługa t. zw. Ranjona (*Rossijskaja Assocjacija Naucznielshodowatelskich Institutow Obszczestwennych Nauk*), składającego się z dziesięciu instytutów naukowych.

Prawowiernych marxistów działalność Ranjona nie zadowoliła, gdyż było tam zamalowało elementów marxizmu. Stąd zaciekle ataki na jego dyrektora D. M. Pietruszewskiego i wreszcie zamknięcie instytutów.

W państwie typu komunistycznego można było przewidywać zupełne zwycięstwo historyków-marxistów. Nie doszło do tego od razu, akcja trwała przez lat kilka. Woźdem był Pokrowski.

Nieugięty przedstawiciel marxistycznej myśli historycznej przystąpił do zupełnego wytepienia śladów europejskiego pojmowania dziejów. Stworzył stowarzyszenie walki politycznej. Badania historyczne i naukowe historii miało przejść na służbę grupy panującej w Rosji. Już w r. 1925 zorganizował T-wo Historyków-Marxistów. W przemówieniu inauguracyjnym podczas otwarcia pierwszego zjazdu T-wo wyłożył swój pogląd na „współczesny materializm historyczny”. Stwierdził, że stał się bardziej subtelny i złożony od materializmu z roku powstania państwa sowieckiego, nie mówiąc już o tego rodzaju poglądach w w. XIX. Pierwszy rozkwit materialistycznego traktowania historii należał już do zapomnianej przeszłości, kiedy współczesne pokolenie zaczynało dopiero życie świadome. Historyczny materializm pierwszego powołania — jak mówi Pokrowski — wiąże się z imionami Szczapowa, Czernyszewskiego i Tkaczewa. Czernyszewski w okresie największego rozwoju swej działalności pisarskiej nie znalazł dostatecznie nauki Marxa. Koncepcja jego była mglista i oddalona od marxizmu jak niebo od ziemi, lecz był to już materializm istotny, chociaż o charakterze metafizycznym. Dopiero na zesłaniu Czernyszewski przestudjował najważniejsze dzieło Marxa.

Jeszcze w końcu wieku XIX w Rosji kasatę poddaństwa za czasów cesarza Aleksandra II w r. 1861 traktowano jako zagadnienie moralne. Historyk Kluczewski podkreślał przytem interes państwowy. Pomimo tego materializm historyczny począł się szybko rozpowszechniać i sięgał już od Plechanowa i Lenina na lewicy aż do Maksima Kowalewskiego i Milukowa na prawem skrzydle. W początkach w. XX ukazały się w legalnym i masowym wydawnictwie prace Lenina *Rozwój Kapitalizmu w Rosji* i szereg dzieł Plechanowa. Czytająca publiczność poczyniała się orientować, co to jest materializm historyczny, i przestaje zaliczać do tego kierunku Maksima Kowalewskiego i Milukowa. Po rewolucji rosyjskiej w 1905 r. idee materialistyczne szerzą się jeszcze bardziej za pomocą literatury legalnej i przy dużym udziale pisarzy z partji mienszewików tak, że carski departament policyjny zaniepokoił się i uskarżał na legalną propagandę demokracji socjalnej. Pod wpływem rewolucji 1905 r. nastąpił nowy etap w rozwoju materializmu historycznego w Rosji, lecz nie była to jeszcze ostateczna forma marxistowskiego poglądu na świat. Brakowało tam jeszcze dwóch zasad do tego, żeby materializm historyczny odbijał w sobie „płomiennego ducha rewolucji” i stanął „na poziomie jej wymagań”. Nie umiano jeszcze ocenić „twórczej roli mas”, bo ówczesny historyk rosyjski przywykł traktować masę ludu jako przedmiot, na który oddziaływano z góry, nie zaś jako podmiot.

Wielkie rosyjskie ruchy rewolucyjne rozpatrywano pod takim kątem widzenia. „Wolne T-wo Ekonomiczne”, badając rewolucję agrarną 1905—6 r., korzystało z relacji swych korespondentów i ostatecznie dało skażony obraz wydarzeń. Historykom bolszewickim nie pozostało nic innego jak opublikowanie tajnych raportów dawnej carskiej żandarmerji. Pokrowski chwali żandarmów, iż jako ludzie praktyczni w swej tajnej kore pondencji nie poddawali się publicystyce tendencyjnej. Dzięki nim przekonano się, że oblicze ówczesnej rewolucji wiejskiej było inne, że była bardziej świadomą

i o wiele więcej polityczną, a naogół zbliżała się już do rewolucji robotniczej. „Najpierwszym zadaniem nowego pokolenia historyków-marxistów jest dać do rąk robotnikom i chłopom książkę, któraby przedstawiała przeszłość nie jako dzieło panów i urzędników, lecz jako ich własne”.

Druga zasada trudniejsza do przeprowadzenia — przyznaje Pokrowski — dotyczy traktowania materializmu *ekonomicznego*. Chociaż dzięki temu argumentacja historyków-marxistów staje się niemożliwą do obalenia, to jednak nie trzeba dać się jej porwać. Nie wolno zapominać o słowach Marxa i Engelsa, iż, chociaż historia powstaje na podkładzie ekonomicznym i bez uwzględnienia tego nie byłaby możliwa do zrozumienia, to jednak historję robią ludzie żywi, którzy mogą się kierować nie tylko motywami ekonomicznymi. Analiza motywów nawet czysto indywidualnych nie sprowadza historyków z drogi metody historyczno-materialistycznej i nie przeistacza ich w „psychologów”.

Pokrowski jako na przykład fałszywego stosowania metody materialistycznej w historii wskazuje na pisarzy ze stronnictwa „mienszewików”, którzy w r. 1917 orzekli, iż Rosja nie jest krajem odpowiednim do rozpoczęcia rewolucji socjalistycznej z powodu zbyt niskiego rozwoju sił wytwórczych. Mienszewicy opierali się wówczas na statystyce porównawczej wydajności pracy w Rosji i za granicą tak w gospodarstwach drobnych, jak i w wielkich. Wobec tego pisarze mienszewicy przewidywali rychły upadek państwa socjalistycznego. W sześć lat później Lenin w jednym z dzieł wyśmiał marxistów mienszewickich za zbyt pedantyczne pojmowanie marxizmu i nazwał ich „głupcami”.

Pokrowski zakończył swą mowę wezwaniem do młodych historyków, żeby stali się historykami nie tylko marxistami, lecz i leninowcami.

Tak więc i w Rosji współczesnej kwestja motywów czysto indywidualnych, powiedzmy „wielkich ludzi”, istnieje nadal. Przypomina to jeden z artykułów znanego publicysty polskiego Srokowskiego, w którym zwycięstwo stronnictwa bolszewickiego w Rosji przypisał przedewszystkiem zwycięstwu ich przywódców. Z tego zapewne powodu praktyczni bolszewicy nie pomijają motywów czysto indywidualnych, a część ich wielkich ludzi uwewnętrznia się w licznych pomnikach Marxa i Lenina, w nazwaniu Piotrogradu Leningradem, no i w mauzoleum Lenina w Moskwie wraz z jego relikwiami.

Przewidywania mienszewików co do niemożności utrzymania się ustroju socjalistycznego w Rosji nie urzeczywistniły się wprawdzie dotąd, lecz nie można zapominać, iż państwo bolszewickie toczy ciężką walkę z niskim poziomem i z małą wydajnością pracy robotnika rosyjskiego. Ustrój komunistyczny nie został jeszcze ostatecznie utrwalony nawet w przemyśle.

Walka przeciw metodom „burżuazyjnym” w historii nie poprzestała na powstaniu bojowego „T-wo Historyków-Marxistów”. Po trzech latach nastąpiło powtórne natarcie o wiele silniejsze.

W końcu grudnia i w początku stycznia 1928/29 r. odbyła się w Moskwie Wszechzwiązkowa Konferencja historyków-marxistów. Obrady wyróżniały się nastrojem wojowniczym. Pierwszy historjograf sowiecki Pokrowski rozpoczął swe przemówienie przy otwarciu zjazdu od podkreślenia, iż historycy-marxisci są tylko jednym z oddziałów armji Lenina, walczącej na wielu frontach jednocześnie. Sowieccy historycy powinni wiedzieć, jakie tendencje panują w obozie nieprzyjacielskim. Udział historyków-marxistów w światowych kongresach historycznych był bardzo ważny ze względu na możliwość ideologicznego oddziaływania nie tylko na zachodnio-europejski proletariąt, lecz i na chwycenie zawsze warstwy drobnej burżuazji. Lenin bowiem przewidywał, że w przyszłej rewolucji socjalistycznej weźmie również udział masowy niezadowolona drobna burżuazja.

Zbliżenie do historjografji zachodniej — musimy zauważyć — miało więc w istocie cele nie naukowe, lecz polityczne.

Wśród historyków europejskich na kongresach dostrzega Pokrowski również „grupy chwycie” — Norwega Kohta, niły marxistę, Francuza L'Héritiera z jego teorią doniosłości dróg handlowych w dziejach, obok innych — i dowodzi, iż to zbliżenie się drobnoburżuazyjnych historyków do marxizmu należy wyzyskać. „Za ten sznurek trzeba ciągnąć!” — mówi historyk propagandysta. Historyk marxista Gorin w sprawozdaniu z działalności T-wo na tejsze konferencji podnosi przedewszystkiem dane ważne ze stanowiska partji komunistycznej: na 169 członków rzeczywistych T-wo Historyków-marxistów było komunistów 136, a na 176 członków korespondentów — 133. T-wo tworzyło kolektyw, którego zadaniem była walka o marxizm i opracowanie kwe-

stij niedostatecznie wyjaśnionych w historjografji marxistowskiej. Gorin powołuje się przytem na określenie zadania T-wo przez Pokrowskiego w mowie z roku 1925, lecz zadania historjografji w stosunku do roli mas ujmuje już nieco odmiennie. Nie mówi o „roli twórczej mas”, lecz o ich „wydatnieniu, jako podstawowego przedmiotu badania historycznego”. Podkreśla przytem konieczność walki w obronie czystości zasad marxizmu, lecz i potrzebę systematycznego opracowania naukowego oddzielnych kwestyj historycznych. Ograniczenie się do samej tylko metody marxizmu bez dostatecznej znajomości strony faktycznej i „techniki badań historycznych” już nie wystarcza.

Pokrowski w referacie p. n. *Leninizm i historia Rosji* dotknął drugiej zasadniczej kwestji w pojmowaniu historii w Z. S. R. R. Wskazywał na przepaść, jaka powstaje między marxizmem a materializmem ekonomicznym, gdy się zwraca uwagę tylko na ekonomję polityczną, a pomija wszelkie inne czynniki. Materializm ekonomiczny w pojmowaniu procesów historycznych ujawnia się jako linja graniczna pomiędzy prawdziwym socjalizmem proletarjackim, a wszelkiego rodzaju naśladownictwami pochodzenia drobno-burżuazyjnego, a niekiedy i wielko-burżuazyjnego. Co się tyczy idei walki klas, wysunął ją nie marxizm, lecz burżuazja w osobie Guizota. Marxizm zaś wprowadził zmianę, której burżuazja przyjąć już nie mogła.

Pokrowski idzie za zdaniem Lenina i Stalina. Przypomina, że w dyskusji, jaką niedługo prowadził z Trockim, Stalin uznał jego (Pokrowskiego) „schemat za prawdziwy”. Jednakże zaznaczył, iż wyróżnia się jeszcze zbyt niemię „upraszczaniem”, polegającym na przypisywaniu zbyt dużego znaczenia czynnikowi ekonomicznemu. Materializm ekonomiczny jest źródłem wielu błędów w marxizmie. Lenin wyjaśnił, że nie tylko samo ekonomiczne objaśnianie procesu historycznego, lecz i ekonomiczny materializm wraz z walką klas jeszcze nie jest marxizmem. „Tylko ten, — przytacza Pokrowski z Lenina — kto uznaje wnioski polityczne z marxizmu, uznaje dyktaturę proletariatu, ten jest prawdziwym marxistą”. Pokrowski zaznaczył, iż prawdziwy marxizm uznaje bardzo silne mieszanie się czynnika politycznego we wszystkich stadiach rozwoju i wskazuje przytem na różnicę pod tym względem pomiędzy socjologją a historją; kiedy w socjologii można mniej więcej bezpośrednio przyjąć za punkt wyjścia ekonomję, ponieważ socjologja obejmuje ogromne okresy w historii kraju, to historia wyróżnia się tem, że w niej każdy moment jest bardzo ważny.

Historyk marxista ma tu więc wyraźnie na myśli indywidualną wartość faktów, którą uznają metody „burżuazyjne”.

Rezolucje konferencji poza postanowieniem rozszerzenia organizacji T-wo Historyków-marxistów na cały Z. S. R. R. i uznania czasopisma *Istoria-marksist* za organ centralny, odpowiadały przeważająco na zjeździe nastrojowi politycznemu. Uchwała zwołania w przyszłości międzynarodowego kongresu historyków marxistów z zaproszeniem także zagranicznych „chwycanych” historyków, zbliżających się do materializmu historycznego, była środkiem propagandowym, owem „pociąganiem za sznurek” Pokrowskiego. Również cel propagandowy miało postanowienie wydawania czasopisma popularnego. Podkreślenie konieczności zbadania współczesnych metod kolonialnych, stosowanych przez państwa imperialistyczne na Wschodzie, a także ideologii narodów wschodnich, wrogich proletariatu, było także akcją informacyjno-polityczną.

Od czasu konferencji wszechzwiązkowej zwycięstwo przychyliło się ostatecznie na stronę historyków marxistów. Ślady wolnego, niezależnego badania dziejów znikły. Ostre polemiki o silnem zabarwieniu partyjnym i z przymieszką terroryzmu toczyły się w dalszym ciągu i po kongresie.

W historjografji Z. S. R. R. i, musimy dodać, w ruchu polityczno-historycznym dominującego tam prądu historyków-marxistów uderza, że podczas dyskusji, które mają być czysto naukowe, padają takie ostrzeżenia, jak „towarzysz, ewentualnie towarzysza, stacza się ku ideologii” mienszewików lub do trockizmu. Są więc ideologie, nawet marxistowskie, tolerowane i zachowane. Przy dyskusji naukowej trzeba się wystrzeżać wykołojenia. Ale trzeba zapytać, co robić ma historyk, gdy fakty swą obojętną logiką zmuszają go zhliznąć się w jakimś zagadnieniu do jednego z twierdzeń nietolerowanej ideologii? — Wtedy badacz otrzymuje ostrzeżenie, jak wyżej, i musi zawrócić lub... narazić się. Czy ostatecznie można to nazwać ścieraniem się różnych metod badania naukowego, czy walką pomiędzy ideologjami zbliżonych do siebie kierunków politycznych w dziedzinie historii? — Jest i jedno i drugie. Element polityczny i nau-

kowy tak się nawzajem splatają w sowieckim ruchu historycznym, że nawet Pokrowski, polityk i historyk jednocześnie, dał temu wyraz w chwili zniecierpliwienia.

Historjografia sowiecka ma jednakże znaczną zasługę wobec historii powszechnej. Naskutek swej polityki narodowościowej i powstania wielu nowych, mniej więcej autonomicznych państw wschodnich, zwrócono uwagę również i na dzieje tych ludów. Okazało się przytem, że niektóre z nich mają swe archiwa. Wkrótce ukazały się rozprawy w językach, dotąd mało lub wcale nie

uwzględnianych przez historyków europejskiego Wschodu, jak białoruski, armeński, gruziński i niektóre inne, w których dopiero powstaje piśmiennictwo. Emigranci rosyjscy historycy, zwolennicy Eurazji, skierowali swe badania również w te strony. Historycy Wschodu stają wobec trudności opanowania wielu nowych języków, udostępniających im nowe dziedziny. Historia tych krajów będzie się zbliżała, jak przewidyuje się w Niemczech, do orientalistyki.

KAZIMIERZ WACHOWSKI

NAGRODA LITERACKA MIASTA KRAKOWA



Zygmunt Nowakowski

Nagroda literacka miasta Krakowa w tym roku, jak i w zeszłym, została podzielona między dwóch autorów, a mianowicie między Zygmunta Nowakowskiego za powieść *Start Edmunda Sulimy* i między Anielę Gruszecką za powieść *Przygoda w nieznanym kraju*.

System dzielenia nagród literackich nie jest specjalnie szczęśliwy. Naprzód dlatego, że naogół nagrody literackie mają na celu nie tyle zrobienie przyjemności nagrodzonemu pisarzowi, ile udzielenie mu znaczniejszej pomocy finansowej, pomocy, która mogłaby mu w jakikolwiek sposób ułatwić pracę literacką, czy to przez umożliwienie podróży za granicę, czy jakichś specjalnych studjów, czy też (najczęściej) zaprzestania na czas pewien pracy zawodowej lub zarobkowej, a przez to oddania się wyłącznie pracy naprawdę twórczej. Nagroda podzielona już tego celu nie wypełnia należycie. Oprócz tego przyznać trzeba, że w kłopot wprawia krytyków. W ludzkiej naturze leży już coś takiego, że mówiąc o dwóch osobach naraz, zawsze się je porównywa t. zn. chwali jednego kosztem drugiego. W tym wypadku porównywanie krakowskich laureatów jest naprawdę niemożliwe. Są to dwie indywidualności twórcze tak diametralnie różne, że właściwie trudno o nich mówić tym samym językiem.

Zygmunt Nowakowski karierę swą piarską rozpoczął stosunkowo późno, jeżeli nie liczyć jego studjum o *Józefie Narzyskim i komedji społecznej* oraz w r. 1917 wydanej noweli legionowej *Wymarsz*. Jest to nowela mało znana a śliczna, w której Nowakowski-legjonista zawarł cały swój głęboki sentyment legionowy, oddał ten specjalny i jedyny w swym rodzaju nastrój, w którym żyła młodzież wyruszająca z Oleandrów, młodzież wpatrzona ufnie w szary mundur Komendanta...

Nowakowski był z „fachu” aktorem i to aktorem doskonałym. Niektóre jego kreacje, jak kreacje w sztukach Shawa, w *Głupim Jakóbie*, jak jego rola poety w *Weselu* — są napewno jednymi z najlepszych kreacyj aktorskich w Polsce.

Ale Nowakowski szukał ciągle nowych dróg wypowiedzenia się, po napisaniu dwóch sztuk na scenę zaczął pisywać feljtony tygodniowe w krakowskim *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*. Te feljtony, pełne dowcipu i humoru, często — trzeba przyznać — grubo złośliwe, zdobyły mu od razu olbrzymią popularność, od razu kreowały go pisarzem. Poprzez dowcipne feljtony płynął także często nurt prawdziwego sentymentu: odzywał się on specjalnie w dwóch wypadkach, a mianowicie wtedy, gdy Nowakowski pisał o dzieciach, lub gdy pisał o teatrze. Wszyscy pamiętamy te kilka ślicznych feljtonów o biednych dzieciach szkolnych (*Dokarmianie wiosny*), o chorych gruźliczych dzieciach w Zakopanem, o polskich dzieciach na emigracji. Z tej wyraźnej sympatii do dzieci i zrozumienia ich wypłynęła cała jedna strona

działalności literackiej Nowakowskiego. Nowakowski pisał i pisze sporo broszurek i książeczek dla dzieci oraz całą serję artykułów i powiastek do wypisów szkolnych. Niektóre z nich, jak temu parę tygodni drukowana powiastka o małym czarującym przyjacielu Marszałka Piłsudskiego na Maderze, mają tę rzadką właściwość, że zajmują dzieci a wzruszają dorosłych.

Z tego samego źródła wypłynęła najpoczytniejsza może książka Nowakowskiego *Przyłdek dobrej nadziei*, książka, która wywołuje u młodych czytelników śmiech i radość żywiołową, a u starszych smętną zadumę. Dalszym ciągiem tej historii o dzieciach jest niedawno wydany i w parę tygodni rozkupiony *Rubikon*, opowiadający przygody szkolne młodych bohaterów.

Drugiemu swemu głębokiemu umiłowaniu, umiłowaniu teatru, zawdzięcza Nowakowski najlepszą swoją książkę, właśnie ten tak słusznie nagrodzony *Start Edmunda Sulimy*.

Bez obawy przesady twierdzą, że *Start Edmunda Sulimy* jest jedną z najlepszych powieści polskich lat ostatnich. Jest to głęboka i subtelna powieść o teatrze, o życiu i przeżyciach aktora, a poprzez aktora o zagadnieniu twórczości artystycznej i artystycznego natchnienia. Ta książka, pełna oozji, wyczarowuje śliczny obraz Krakowa, jego kwitnących plant, skromnych sklepów, średniowiecznych zaułków, a przedewszystkiem obraz życia, koncentrującego się w parne letnie wieczory dookoła płonącego i gasnącego naprzemian teatru, kuszącego swym mirażem żądne fikcji i bajki umysły młodzieży. Smaku tej powieści dodaje jej oryginalna forma, stylizowana na wzór starych, niemodnych już powieści, pełna zwrotów do „szanownego czytelnika”, lirycznych i refleksyjnych dygresyj. O te właśnie dygresje chodziło najwidoczniej autorowi. Rzeczywiście rzadko spotyka się tak doskonale zharmonizowanie formy i treści, formę tak konieczną dla treści wewnętrznej. Także językowo powieść jest majstersztykiem ślicznej, starej a niemęczącej polszczyzny. Wogóle strona językowa literackiej twórczości Nowakowskiego zasługuje na specjalną uwagę. Jest to język czysty, jasny, prosty, prawie klasyczny a pełen giętkości i bria.

Aniela Gruszecka-Nitschowa, córka znanego powieściopisarza Artura Gruszeckiego, jest w naszej literaturze indywidualnością ciekawą i nawszkroś oryginalną. Wydała trzy tomy prozy powieściowej. Pod pseudonimem Jana Powalskiego powieści *Nad jeziorem* i *W słońcu* i niedawno, pod nazwiskiem Anieli Gruszeckiej, powieść *Przygoda w nieznanym kraju*. Poza tym dwie powieści dla starszej młodzieży.

Nad jeziorem, jak mówi podtytuł, jest sielanką wielkopolską z XIII w. Uderza znakomicie archaizowanym językiem, przepięknymi obrazami przyrody, znakomitem wzięciem się w epokę. Motto zaczerpnięte ze Słowackiego:

Świat snem — snu ziemia łożem,
Ze snu powstać nie możemy,
Ale z łoża do Boga wołamy —

doskonale i ściśle wyraża głęboką myśl, żyjącą pod doskonale opanowanym kształtem tej powieści historycznej. *Nad jeziorem* jest książką bardzo wysokiej miary i wysokiej artystycznej wartości.

W słońcu to zupełnie inny ton, inna technika, inny język. Są to obrazki z życia dzieci, obrazki z życia w polskim dworze kresowym, obrazki naprawdę przepojone słońcem, a zarazem także pełne głębokiej treści wewnętrznej, pełne dalekich horyzontów myślowych i uczuciowych. Książka pełna liryzmu, poezji i zadumy.

Ostatnia jej książka, właśnie nagrodzona *Przygoda w nieznanym kraju*, to znowu zupełnie co innego. Jest to powieść czysto intelektualna — na temat tragedji wewnętrznej człowieka nie mogącego wyjść ze swojej samotności oraz na temat wewnętrznych przeżyć twórczego artysty. Trzeba



Aniela Gruszecka-Nitschowa

przynależać, że zadanie, śmiało postawione przez autorkę, było niezmiernie trudne, a zwłaszcza niewdzięczne, tak jak wogóle wszelkie zadania metafizyczne, konkretyzowane w artystycznej formie powieściowej.

Powieść ta nie będzie, oczywiście, nigdy „lekturą dla starszokich mas”; została natomiast entuzjastycznie przyjęta przez krytykę. Zwłaszcza Leon Piviński poświęcił jej słowa pełne entuzjazmu, zaliczając ją do najciekawszych polskich powieści z ostatnich lat: „...zarówno w tematyce psychologicznej jak i w sposobach ekspresji są tu rzeczy całkowicie nowe, przypominające stopniem subtelności i odkrywczości takie autorki obce jak Virginia Woolf lub Dorothy Richardson, a niespotykane jeszcze w beletrystyce polskiej”. Z tym sądem L. Pivińskiego można się godzić lub nie, można uważać dzieła Jana Powalskiego za bardziej skończone, za pełniejsze artystycznie osiągnięcia, można dyskutować, czy tutaj

zamierzenia autorki uzyskały swój pełny i doskonale wyraz artystyczny, ale trzeba uznać, że wysiłek twórcy był wielki i rzetelny. Czujemy, że autorka chciała dotrzeć do najgłębszej prawdy o człowieku, tak niezmiernie trudnej do oddania, tak często wymykającej się najlepszym piórom. Jest w tej *Przygodzie w nieznanym kraju* coś z uporu małego Włodka (bohatera powieści *W słońcu*), który nie chce pisać zadania poprawnego, dobrego, zwykłego, ale jedynie to, o co mu chodzi, bo jedynie to nie jest dla niego „klamstwem”.

I tu w tym prawdziwie rzetelnym stosunku do własnej twórczości leży głęboka wartość dzieła Anieli Gruszeckiej. Rzadko się zdarza, żeby autorka, która raz pisać zaczęła, pisała tak niesłychanie mało. Nie znaczy to, żeby autorzy płodni źle robili, pisząc dużo. Organizacje artystyczne są bardzo różnorodne — znaczy to tylko, że dla A. Gruszeckiej każda książka jest głębokim przeżyciem wewnętrznym, że autorka umie się oprzeć pokusie pisania dla pisanania i że pisze jedynie wtedy, gdy zupełnie dojrzały, głęboko przemyślany pomysł domaga się już konieczności artystycznego wyrazu. Lepiej jeszcze zrozumieć powolne tempo jej pracy, gdy uprzytomnimy sobie, jak niezwykle różne są wszystkie trzy jej tomy powieściowej prozy. Są do siebie tak niepodobne, że trudno uwierzyć, że wyszły z pod jednego pióra. Ma się wrażenie, że do napisania każdej z tych książek autorka obeszła świat na nowo, że go od nowa przemysłała, i za każdym razem ujęła z całkiem innego punktu widzenia. Ta ogromna różnorodność, to wewnętrzne bogactwo jest naprawdę imponujące.

Oprócz powieści Aniela Gruszecka pisywała i pisuje znakomite prace z zakresu krytyki literackiej, drukując je przeważnie w *Przeglądzie Współczesnym*. Wśród tych prac zwróciły specjalną uwagę prace o teorii i technice powieści.

ZOFJA ST. AROWIEYSKA-MORSTINOWA

LEKTURA PODRÓŻNA

O ile wiem, nikt dotychczas nie zajmował się bliżej tem ciekawem zjawiskiem, jakim jest lektura podróżna. Mówiono na ten temat niejednokrotnie, ale nie wychodzono chyba poza ogólne uwagi na temat poziomu tej specjalnej literatury, dostosowanej do doraźnych potrzeb podróży. Tymczasem samo zjawisko jest wcale interesujące: mamy tu do czynienia z pewnymi określonymi warunkami, które umożliwiają powstanie dość specyficznej w formie i treści lektury podróżnej, *Reiselektüre*. Warunki te są w różnych czasach i przy rozmaitych technicznych środkach lokomocji wcale rozmaite, no i oczywiście lektura ta też w dość różnorodnej występuje formie.

Otóż tutaj można postawić zagadnienie ściśle socjologiczne, dalekie od roztrząsań na temat wartości tej literatury: jak zmieniające się warunki podróży wpływają na kształtowanie się produkcji literackiej. Zadaniem niniejszego szkicu jest właśnie wskazanie na to zagadnienie.

Początki lektury podróżnej przypadają na drugie ćwierćwiecze ubiegłego stulecia. Podróżowano oczywiście zawsze i próbowano w rozmaity sposób zabijać powoli się wlokące godziny jazdy, ale powstanie specyficznej lektury podróżnej łączy się z rozwojem komunikacji kolejowej. Dawne sposoby podróżowania nie sprzyjały czytaniu: wiadomo, że nierównie łatwiej czytać w wygodnym wagonie kolejowym, aniżeli w powozie. Zresztą, powozy niezawsze bywały wygodne; jeżdżono częściej w towarzystwie rodziny czy dobrych znajomych, droga była bardziej zajmująca, nie związana z banalną trasą drogi żelaznej, następcząca możliwość dowolnego zatrzymania się, wejścia w kontakt z ludnością, rozejrzenia się na postoju. Zabawiano się rozmową, opowiadaniem, grą w karty, czasami śpiewami (zwłaszcza monotonne godzinki nadawaly się wybornie jako *passé-temps*). Podróż kolejją, bardziej indywidualna, znacznie wygodniejsza, ale zarazem bardziej monotonna, stwarza nierównie lepsze warunki czytelnictwa i im dłuższa była podróż, im wygodniejsze siedzenie i lepsze światło, tem chętniej czytano. Z drugiej zaś strony przypomnieć należy ogromny rozwój podróźnictwa, który w rezultacie doprowadza do tego, że coraz to większa ilość osób spędza coraz to większą ilość czasu w wagonie kolejowym.

Podróżowanie stwarza więc specjalną, coraz to liczniejszą klientelę czytelnictwa, która ma określone wymagania, wpływające na rozwój specjalnej literatury podróżnej, t. zw. *Reiselektüre*. Łatwo określić,

czego wymaga się od takiej lektury: winna ona być odpowiednich do długości podróży rozmiarów, a więc nie nazbyt długa, by całą książkę można w ciągu jazdy przeczytać, interesująca i lekka, aby mogła zająć czytelnika, niezawsze literacko wykształconego i nie przywiązującego większej wagi do lektury, pozbawiona wygodna w formie, nie za wielka i nie za ciężka, wreszcie niedroga, gdyż często tylko jednej podróży służy. Zaczyna się ta literatura od almanachów, zawierających rozmaitego rodzaju treści literacką: złote myśli, poezje, krótkie opowiadania, nieco materiału ilustracyjnego, która stają się zwyczajowym prezentem dla pań, udających się w podróż. *Keepsake*, gdyż pod tą nazwą rozpowszechnia się w Europie zachodniej almanach podróży, jest charakterystycznym zjawiskiem czasów Ludwika Filipa i jest formą, w której rozwijają się niektóre łatwe rodzaje literackie. Niedługo potem jednak potrzebny klienteli podróźniczej stwarzają daleko obszerniejszą literaturę, przeważnie nowelistyczną, o ostro zarysowanej fabule, zwracającą większą uwagę na doraźne zainteresowanie czytelnika, aniżeli trwalszy efekt artystyczny, bardzo często sensacyjny; literatura ta, powodzenie swe zawdzięczająca także i niskiej cenie, musi osiągać wysokie cyfry nakładów, co jest możliwe tylko przy najdalej idącym dostosowaniu się do gustów przeciętnej publiczności. Zaznaczyć jeszcze można, że nawet literacko wykształceni i artystycznie wrażliwi czytelnicy w czasie podróży okazują dużo pobłażliwości dla książek, których w innych warunkach w rękę nie biorą. Efekt tego stanu rzeczy jest prosty: im mniej się czyta literatury w normalnych warunkach, a więcej w czasie podróży, tem więcej pojawia się twórców, obliczonych na szerokie rzesze niewybrednej publiczności. Powieść sensacyjna, erotyczna, kryminalna, detektywistyczna znajduje chętnych odbiorców w kioskach kolejowych, podczas gdy księgarnie skarżą się na mały odbyt dzieł literackich wyższego stylu.

Przebieg czytelnictwa kolejowych służby kolportaż na stacjach, rozwijający się z czasem w poważne ilościowo księgarstwo. Kolportaż ten spotykamy najpierw w Stanach Zjednoczonych, gdzie długie podróże na ogromnych przestrzeniach tworzyły najlepsze warunki dla rozwoju czytelnictwa; już koło 1850 r. na najodleglejszych stacjach amerykańskich sprzedawano książki, podczas gdy w Europie jeszcze o tem nie myślano.

Dodać należy, że ten ogromny rozwój czytelnictwa podróźnego jest ściśle uzależniony od warunków, które tworzy komunikacja kolejowa. Zmiana środków komunika-

cyjnych pociąga za sobą zmianę warunków czytelnictwa, i — co za tem idzie — rozwoju lektury podróźnej. Charakterystycznie występuje tu znaczne obniżenie czytelnictwa podróźnego przy komunikacji samochodowej.

Auto nawiązuje częściowo do tradycji dawnej komunikacji konnej, do *coach-period*, i wywołuje analogiczne skutki społeczne. Samochód nie jest związany z określoną linią technicznych instalacji toru, dopuszcza swobodę w wyborze drogi, możność zatrzymania się w dowolnym miejscu, niezależnie od ściśle ustalonego rozkładu jazdy; w rezultacie wiąże on podróź-

nego bardziej indywidualnie z drogą, która staje się ciekawa, daje mu więcej sposobności rozerwania się, zatrzymania się i odpoczynku; zainteresowanie się techniką jazdy, częste prowadzenie wozu przez podróźnego zajmuje mu czas o tyle, że nie szuka on pomocy lektury, która również fizycznie jest mniej wygodna w samochodzie; towarzyski charakter podróży, nierównie częstszy niż w kolei, czyni książkę zbędną. Przypuszczać można, że stacje benzynowe czy garaże nie będą nigdy bardziej ożywionymi punktami kolportażu książki.

JAN ST. BYSTRON



K. SICHULSKI

Owoce i kwiaty

WYSTAWA „SZTUKI” W ZACHECIE

Stowarzyszenie *Sztuka*, założone w 1897 roku w Krakowie przez najwybitniejszych wówczas przedstawicieli malarstwa polskiego, skupiało wokół siebie niemal całe życie artystyczne tego okresu. Było wyrazem i odbiciem sztuki idącej z prądem czasu.

Dzisiaj niestety jest inaczej, członkowie *Sztuki* żyją jakby procentami od cudzego kapitału — powtarzają stale jedno i to samo, nie wykazują żywotności, przejawiającej się w dążeniu do nowych zdobyczy w dziedzinie ujęcia formalnego, pozostają poza nurtem sztuki współczesnej.

Z 10 członków założycieli tej grupy tylko już trzech pozostało przy życiu, wzięli oni również udział w wystawie bieżącej. Niestety, jest to jednak już tylko sugestia wielkich nazwisk — Wyczółkowski bowiem dał tylko jedną z pięknych swych autolitografij, Axentowicz pastelowo „lirni-ka”, „studjum portretowe” i szkic do obrazu”, — zupełnie już dziś do nas nieprzemawiające prace, najzupełniej obce współczesnemu odczuciu plastycznemu, — a Mehoffer dwa jasniejące jak zawsze przejrzystością tonu zieleni krajobrazy i rysunek portretowy. Jedynym wśród członków grupy, który sprawił nieoczekiwaną niespodziankę, wykazując duży wysiłek twórczy, śmiało

kroczenie naprzód — jest Fryderyk Pautsch.

Na pierwszy plan z 27 jego wystawionych prac wysuwają się krajobrazy, w których przejawia się dążenie do syntetyzowania form charakterystycznych, zaobserwowanych w przyrodzie.

Gwałtowny, wybuchowy i nieopanowany często dawniej temperament malarski Pautscha zostaje obecnie świadomie powściągnięty i przejawia się teraz w rozmaitości stosowanej faktury, w odrzuceniu niekiedy nawet pendzla — i posługiwaniu się szpachlą.

Barwy wibrują, ale zostają podporządkowane apriorystycznie pomyslanej harmonii, faktura podkreśla kształt formy.

Każda z poszczególnych części obrazu jest doskonale opracowana, pewną jedynie dysharmonię w ogólnym ujęciu formalnym stanowi niebo na szeregu krajobrazów, potraktowane jak „dziura” w obrazie, i tło w portrecie Kopyry zbyt powietrzne.

Przy dużej precyzji rysunkowej nie stracił Pautsch lekkości malarskiej; przemyślane i opracowane formy — zdają się być rzucone odniechcenia. Wielką swobodę wypowiedzania się osiąga artysta przez zdobycie dyscypliny, hamującej nadmierne wybujały jego dawniejszy indywidualizm. W

twórczości Pautscha daje się wyczuć wewnętrzną walkę z impresjonizmem plenerowym, który udaje mu się szczęśliwie i ciekawie przezwyciężyć (*Zaprząg wołów*). Najslabszym obrazem Pautscha jest *Rodzina*, zbiorowy portret rozbity na części, przyczem prawa strona jego (postacie kobiece) jest przykro pretensjonalna.

Sichulski daje wyraz nowym usiłowaniami w martwych naturach temperowych, wytwornych w kolorze, o tonach ściszonych, opartych na kompozycji plam barwnych i podkreśleniach kształtu ich węglową kreską, gorszy jest natomiast w tymże samym temacie malowanym olejno, gdzie uderza tłok i przypadkowość zestawień, form i barw. Odnosnie do obrazu tego artysty, zatytułowanego w katalogu *Sic. Jerzy*, nawiasowo trzeba dodać, że święty ten nigdy nie miał przyjemności oglądania jelenia z krzyżem na rogach, i że to było udziałem Św. Huberta. Bogata kolekcja prac Pieńkowskiego ukazuje jak zawsze usiłowania kolorystyczne, niestety oparte na harmoniach brutalnych, uderza też przykro nadmiar zbędnych szczegółów, porzucanych draperij, owoców i kwiatów, mających stanowić akcenty kolorystyczne w obrazach przedstawiających akty kobiece. — Najlepszy, najspokojniejszy jest półakt (uprzednio już wystawiany) na tle kręciastego tła, kontrastującego ciekawie z krągłością form ciała kobiecego i falistych linii fotela, oraz *U modniarki*, gdzie tłok dekoracyjny zostaje stonowany kolorystycznie. Martwe natury natomiast rażą suchością ujęcia, przeciążeniem szczegółami (owoce, kwiaty, ptaki wypchane na stole i obok, draperje i to jeszcze w deseń i t. p.). Portrety kobiece na balkonie są twarde, sztywne, przykre w kolorze (przypominają nieco Mehoffera).

Weiss jak zawsze bardziej miękki i malarski, reprezentowany jest na wystawie słabo — portret rodzinny ekliwy, najlepsza „modelka” na czerwonym tle z taktamiż koralami na szyi.

Najwięcej obok Pautscha wystawił swych prac Filipkiewicz, który niestety nie daje żadnych usiłowań nowych, zawsze obrazy jego podobać się będą tym, którzy szukają wspomnień wrażeń odebranych od natury, i zawsze zarzucić im trzeba przy-

pałkowość wybranych fragmentów, brak kompozycji, brak opracowania całych partij obrazu (dobitnie zwłaszcza ta cecha się wypukła w zestawieniu z Pautschem), a pozatem nudne zrównanie.

Krajobrazy Podgórskiego są nieznośne w swym prymitywizmie zestawień barwnych i w braku smaku.

W przeciwieństwie do niego Karpiński jak zawsze jest wytwornie zamglony w kolorystyce, nuży jednak poprawnością w pięknych herbacianych różach i rozwiewnych wnętrzach.

Wśród młodych zaproszonych wyróżnia się Matuszczak, budujący swe obrazy jednolicie, z poczuciem wagi i znaczenia każdego centymetru powierzchni obrazu; przebiega tu echo Paryża, wspólna z kapistami jednobarwność i odrębność w wprowadzeniu czarnego konturu, podkreślającego formę, roznieśzenie barw śmiałe, czasem niezależne od konturu. Borysowski stosuje w śnieżnych krajobrazach subtelne zestawienia barw, buduje obrazy za pomocą plan barwnych.

Interesująca jest jego martwa natura, rozwiązana w harmonii czerwonej, techniką fakturową.

Hrynkowski w cieżnawskim *Amorku* i *Tulipanach* komponuje formy, opierając się na rytmie, operując subtelnym i wyszukany kolorystyką. Aneri daje wyróżniające się dobrem opracowaniem kwiaty, zwłaszcza *Bukiet II*, doszukuje się też trudnych połączeń barwnych (barankowy z cynobrowym i szmaragdowym).

Przehindowski występuje z charakterystycznie ujętymi typami *Muzykantów Sycylijskich* i ciekawymi scenami z wnętrza szynku w grafice. Obok krajobrazów i martwych natur Dadlez w zamglonym kolorystyce przedstawia kompozycje figuralne, zbudowane na przekątnej, trochę zbyt słodkie.

Zupełnie zbędni wydają się czterej zaproszeni Francuzi. Akty słabo rysowane, cukierkowe — nadają się do *La vie parisienne*, ilustracje są mało pomysłowe, najlepsze stosunkowo fragmenty Wenecji i fantazje architektoniczne.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

EGIPT A NAUKA POLSKA

Egipt jest prawdziwą ziemią obiecaną dla badaczy kultury starożytnej. Egiptologia, w ścisłym słowa tego znaczeniu, ani w części nie wyczerpuje olbrzymiego zakresu zagadnień związanych z przeszłością kraju nad Nilem. Najstarsze dzieje Egiptu pozostają nadal domeną prehistoryków, kultura grecko-rzymska, reprezentowana przede wszystkim w Aleksandrii, a dalej w szeregu miejscowości w Delcie, w Fayum i w Górnym Egipcie, stanowi teren pracy archeologów klasyków. Papiirusy odkrywają swe tajemnice papirologom. Bizantyniści i orientaliści mają tu swoje monasteria koptyjskie i meczety muzulmańskie, które dostarczałyabyteków do Muzeum Koptyjskiego i Muzeum Arabskiego w Kairze.

Główny wysiłek badawczy tkwi jednak nadal w wykopaliskach. Obowiązująca do dziś, liberalna ustawa o wykopaliskach, nad której wykonaniem czuwa egipski *Service des Antiquités*, przynajmniej odkrywcy na własność te przedmioty, które nie interesują Muzeum Egipskiego w Kairze. Ponieważ zaś Muzeum Egipskie jest wprost przeladowane okazami wszelkiego typu i wartości artystyczno-historycznej, każdorazowa kam-

panja wykopaliskowa przynosi również spory plon materialny danej ekspedycji naukowej. Wszystkie ważniejsze muzea światowe posiadają w Egipcie stale misje wykopaliskowe, które rokrocznie zasilająabytekami swoich mandatarjuszów w Europie i w Ameryce. Wartość pieniężna przedmiotów uzyskanych tą drogą najczęściej przewyższa wielokrotnie sumy wydatkowane na organizację wykopalisk i prace badawczo-publikacyjne. Wykopaliska w Egipcie opłacają się i materialnie, nie mówiąc już o olbrzymich zdobyciach naukowych, wynikających z pracy w tym terenie.

Prócz misyj cudzoziemskich: angielskich, amerykańskich, francuskich i włoskich, działających w granicach koncesyj wykopaliskowych, badania archeologiczne w terenie prowadzą też miejscowe instytucje naukowe. Na wybrzeżu i w przyległych okolicach Deltę Nilu cała prawie działalność wykopaliskowa skupia się w Zarządzie Muzeum Miasta Aleksandrii, którym kieruje od dwu lat młody archeolog włoski dr. Adriani. Egipski *Service des Antiquités*, posiadający szereg zarezerwowanych dla siebie terenów, główną akcją wykopalisko-



E. MATUSZCZAK

Do synagogi



F. PAUTSCH

Zaprząg wołów

wą rozwija w Sakkara i w Karnaku pod kierownictwem naczelnego dyrektora p. Pierre Lacau. Z ramienia Uniwersytetu Egipskiego, prof. Selim Hassan rozkopuje cmentarzysko IV, V i VI dynastji, obok piramid w Gizeh, zaś prof. Sami Gabra kopie w Tuna (starożytne Hermopolis) w Górnym Egipcie. Francuski Instytut Archeologiczny, pod dyrekcją prof. Pierre Jouguet, w roku bieżącym kontynuuje wykopaliska w Deir-el-Médineh i w Toud, w Górnym Egipcie. Niemiecki Instytut Archeologiczny, którego kierownictwo spoczywa w rękach egiptologa, prof. Junkra, pracuje w El-Ashmunin (Górny Egipt). Sezon wykopalisk trwa od listopada do końca marca. W kwietniu panują już w Górnym Egipcie silne upały, a potem następuje okres wylewu nilowego, kiedy ustaje wszelka praca w polu i na pobliskiej pustyni.

Nawiązanie kontaktu naukowego z Egiptem leży bezspornie w interesie nauki polskiej. Nie chodzi tu o bezpośredni kontakt z nauką nowoczesnego Egiptu, która znajduje się dopiero w początkowej fazie rozwoju, lecz o udział w międzynarodowej kooperacji naukowej na tym terenie. Punktem wyjścia do takiej współpracy musiałyby być wykopaliska, prowadzone bądź pod własną firmą (to jest z ramienia jednej z instytucji naukowych w Polsce, n. p. któregoś z uniwersytetów lub muzeów), bądź też wspólnie z jedną z instytucji cudzoziemskich, wprowadzonych już w teren, jak np. Francuski Instytut Archeologiczny. Tego typu łączne ekspedycje spotkać dziś można bardzo często na Wschodzie. Słynne wykopaliska w Dura-Europos w Syrii prowadzone są wspólnie przez amerykański Uniwersytet Yale i francuską Akademię Napisów. Niezmiernie ważne wykopa-

liska w Gizeh były wspólnym przedsięwzięciem Akademii Wiedeńskiej i Muzeum w Hildesheimie.

Uzyskanie odpowiedniej koncesji nie przedstawiało dla Polski trudności. Roczny koszt kampanji wykopaliskowej, łącznie z publikacją, nie przewyższyłby budżetu dwu katedr uniwersyteckich (humanistycznych) w kraju. Własne lub wspólne wykopaliska w Egipcie przyczyniłyby się w dużej mierze do ożywienia u nas ruchu naukowego: dostarczyłyby materiału do studjów wielu uczonym polskim, stałyby się szkołą dla młodszej generacji archeologów polskich, stworzyłyby poważną placówkę polską w szlachetnej rywalizacji na międzynarodowym polu pracy naukowej.

Wiek XIX był okresem wielkich odkryć archeologicznych. Wszystkie mocarstwa europejskie brały wówczas czynny udział w organizowaniu wypraw naukowych na Wschód: do Grecji, Azji Mniejszej, Egiptu, Syrii i Mezopotamji. Jednym z rezultatów tych poczynań są dzisiaj europejskie instytucje naukowe, prowadzące prace badawcze na ziemiach starożytnych cywilizacji. Brak nas było wówczas na mapie Europy i brakło naszego imienia na tej karcie dziejów kultury współczesnej. Nie wolno nam zapominać, że i na tym odcinku mamy coś do zrobienia, że państwo europejskie, liczące 33 miliony obywateli, posiada i pod tym względem pewne obowiązki wobec współczesnej cywilizacji, nie powinniśmy tu pozostać w tyle za innymi, mniejszymi narodami.

Czas najwyższy pomyśleć o wykopaliskach polskich w Egipcie.

KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

Kair, w marcu 1935.

O ZMIANĘ POLITYKI TEATRALNEJ

Już od dłuższego czasu stał się teatr ciekawym a ważnym problemem, który starają się rozwiązać wszyscy, w jakikolwiek sposób związani czy zainteresowani tym przybytkiem kultury. W szeregu rozpraw, opublikowanych na ten temat, dają się zauważyć dwa podstawowe czynniki problemu: 1) sprawa zmniejszającej się frekwencji i związany z tem upadek finansów, 2) obniżenie poziomu teatru.

Oba wspomniane czynniki są ściśle z sobą związane: Braki repertuarowe są przyczyną zmniejszającej się frekwencji, z drugiej strony kierownicy teatrów w pogoni za publicznością i kasą obniżają poziom teatru, nie osiągając celu. Publiczność bowiem obsadza słabo zarówno lekkie komedje i farsy francuskie, jak również poważne, klasyczne przedstawienia.

Znalezienie przyczyny mankamentów, podobnie jak odkrycie źródła choroby, jest poważnym krokiem w kierunku uzdrowienia. Można doń dojść drogą badania stosunków i związanych z niemi eksperymentów, prób, które przed jej późniejszą muszą doprowadzić do celu. Z wielu sposobów oświetlenia danego tematu zasadniczo równie ważne jest potraktowanie zagadnienia od strony finansów, jak i od strony kultury.

Teatr bowiem, chociaż jest przybytkiem *par excellence* kulturalnym, nie może jednak pogardzać stroną finansową. Rosnący deficyt nie tylko grozi bytowi teatru, ale świadczy też o jego niezdyktowności. Słaba frekwencja dowodzi braku kontaktu między pracą teatru a życiem, dowodzi, że ta praca nie odpowiada tym, dla których jest przeznaczona, że — jeżeli już mówimy o finansach, użyjmy ekonomicznego zwrotu — istnieje rozłam między produkcją a konsumcją, czego wynikiem jest nieproduktywność włożonej pracy.

Z drugiej strony teatr o wysokich aspiracjach kulturalnych nie może się liczyć jedynie ze względami kasowemi — musi publiczność kształcić, urabiać i podnosić ku swemu programowi, a nie zniżać się do przypuszczalnych upodobań szerokich mas. Zdrowa i celowa polityka teatru łączy aspiracje artystyczne z pociąganiem publiczności. Utrzymując przeciętną poziom na wysokości zadania, zdobywa zarazem taką frekwencję, która normuje byt teatru.

Ze obniżenia poziomu nie jest dobrym sposobem ratowania kasy — udowodniła to dotychczasowa praktyka. Zdarza się niekiedy, że sztuka o niskim poziomie „idzie”, ale to się zdarza tylko rzadko. Jednostajność małego repertuaru nuży. Jedna rzecz lekka czy wesoła pociągnie, druga, o takim samym charakterze, zrobi już klape.

Zresztą jeszcze jeden względem trzeba mieć na uwadze, obniżając poziom repertuaru: konkurencję kina. Publiczność, która w teatrze może znaleźć te wartości, jakie jej daje kino, woli pójść raczej do kina, niekierującą jej pod względem czasu, a w dodatku tańszego. Teatr, aby pociągnął ku sobie i uniemożliwił konkurencję kina, musi posiadać własne, oryginalne i tylko na jego gruncie możliwe do urzeczywistnienia waliki. Nie może tem być tylko dobra gra aktorów, czy piękne dekoracje, chociaż jedno i drugie osiągnięto dziś wysoki poziom artystyczny, — te rzeczy bowiem spotyka się często także w kinie, które posiada w tej dziedzinie więcej swobody i możliwości. Teatr, operując aktorem i dekoracją jako jedynymi wartościami, nie spełni swego zadania.

O znaczeniu teatru rozstrzyga wyłącznie repertuar. Aktor, reżyserja, dekoracja rozstrzygają o poziomie przedstawienia, ale to są jedynie środki, które się rozwija na gruncie odpowiednio dobranego repertuaru. Sprawdzianem dobroci repertuaru może być stosunek ogólnego poziomu teatru do frekwencji. Sprawdzian ten, zastosowany do dzisiejszej polityki teatralnej, wykazuje jej błędność.

Ze repertuaru teatrów wykazuje duże braki — co do tego zgadzają się wszystkie rozważania na temat tej pięknej kwestji i interviewy z odpowiednimi osobami. Jest to jasne. Bije w oczy: teatry nietylko świecą pustką, ale coraz bardziej obniżają poziom. Stosunek ilościowy utworów wartościowych do bezwartościowych zmniejsza się zastraszająco. Co jakiś czas teatry zamożniejsze „pozwalają sobie” na poważniejszą sztukę i to dawnego już, ustalonego autoramentu, naogół jednak idą przez całą Polskę rzeczy lekkie, obliczone tylko na trwanie chwilowe i na niewybredne, niewymagające gusty.

Ta nagminność rodzaju przedstawień dowodzi, że to nie jest fakt odoosobniony, ale świadoma polityka kierownictw teatralnych. Nigdy bowiem nie było tak wielkiego podobieństwa repertuarowego, łączącego wszystkie większe, a niekiedy i mniejsze miasta — jak w chwili obecnej. Teatry wykazują właściwie jedną linię rozwojową.

Linia ta nikogo nie zadowala. Ani nieliczni monomaniaci teatralnych, ani czynników kierowniczych, ani — co najważniejsze — nie zadowala nawet szerokich mas, o które przecie głównie chodzi, które decydują o kasowości przedstawień. Nie pociągają ich.

Dla czego tedy sfery odpowiedzialne nie zrezygnują z tej linii, jeżeli jest mylna, jeżeli wykazuje fiasko? Czemu trzymają się jej od szeregu lat? Czy wynika to z konieczności, czy gdzie indziej należy szukać przyczyny tego zjawiska?

W artykule o teatrze, drukowanym w *Kurjerze Porannym*, rzeka Boy-Zeleński przypuszczenie, że braki repertuarowe teatrów wynikają ze słabej — w tej dziedzinie — twórczości literackiej w Polsce. Wynikałoby z tego, że polityka teatrów, dających sztuki słabe, wypływa z konieczności. To samo czytamy w *Pionie* w słowach dr. Zawistowskiego, naczelnika wydziału kultury i sztuki M. W. R. i O. „Gdybyśmy posiadali twórczych dramaturgów, o indywidualnościach na tyle odrębnych, że szkodałoby ich było chować pod ogólnym korcem, to — przypuszczam — znaleźliby oni w TKKT swój własny warsztat pracy”. To znaczy, jeżeli na warsztacie nie widzimy sztuk mocnych, więc indywidualności twórczych u nas niema.

Tymczasem sprawa nie przedstawia się tak prosto. Abstrahujemy od tego, że do granych u nas sztuk obcych nie przykładają się tak wysokiej miary. Ale inny artykuł Boya jest echem rozpaczliwego wołania całego szeregu autorów o głos, o niechowanie ich pod korcem. Nie wiemy, co są warci ci autorzy, ale o tem nie wiedzą także dyrektorzy teatrów, decydujący o repertuarze, bo ich zazwyczaj nie czytają. Rękopisy giną, albo butwieją w dyrektorskich biurkach latami. Kto ma wobec tego sądzić o rezultatach twórczości dramatycznej w Polsce?

Uderza nas ciekawe zjawisko: kierownictwa teatrów gonią za sztukami, zostaje nawet rozpisany konkurs na utwór dramatyczny i napływa 287 sztuk, a w ciągu ostatniego okresu bardzo mało, stosunkowo nie prawie nie było granych sztuk polskich, współczesnych. Czyżby rzeczywistość między pisarzami, którzy tak bogato obsadzili konkurs, nie było ani jednej wybitnej indywidualności? Dla czego trzeba było aż konkursu, aby ujawnić istnienie takiej ilości piszących dla sceny? Czyżby konkurs dopiero rozwinął tę skalę?

To jasne. Utwory, nadsyłane dyrektorom teatrów przez młode siły o nieznanym nazwisku, nie są przeważnie czytane. Można się tłumaczyć zalewem grafomanstwa w ostatnich czasach. Sztuk jest za wiele, a kto wie, ile wartościowych. Ale to bynajmniej nie upoważnia do nieczytania. Nie można być ślepa, chcąc wyłowić perłę. Zdarza się też, że teatr nie wystawi sztuki, zbyt nowej w założeniu, lub zbyt jaskrawo oświe-

lającej rzeczywistość polską, choćby miała wysoki poziom artystyczny.

Jaki jest jednak wynik omawianej polityki? Scena polska straciła kontakt z polską publicznością. Straciła jedyną możliwą wartość pociągającą, której nie odebrałoby jej kino: związek z polską rzeczywistością. Nie wystarczy aktualizacja, nie oplaci się na trwałe trud wznowienia rzeczy dawnych, o wartościach niemiernych, ale tkanych na pozółtkę dziś kanwie, jeśli się obok nich nie da wartości żywych, nowych, bijących bezpośrednio w przeżycia widza. Tamte wymagają pewnej kultury i odpowiedniego nastawienia, do którego niekiedy jest zdolny, te tętnią gorącą krwią zainteresowań bezpośrednich.

Czy wystarczą na scenach aktualne komedjki? Utrwaliło się — niewiadomo, jaką drogą — przekonanie, że dzisiejsza publiczność nie znosi rzeczy poważnych, że szuka tylko lekkich. Wniosek — być może — powstał wskutek słabej frekwencji na wznowieniach, tymczasem słaba równocześnie frekwencja na komedjach wykazuje, że w przekonaniu tem leży błąd nieporozumienia. Nie wystarczy dawać rzeczy poważne. Aby zainteresowały, muszą one też być aktualne, muszą być zwierciadłem naszego życia.

Nieraz spotyka się, zwłaszcza u ludzi starszych, ze wzdychaniem do dobrych czasów teatru, kiedy na premierę szło się jak na uroczystość, a przedstawienia dawały kasę. Jeżeli te czasy były dla teatru dobre, dluzego nie sięgnąć do nich po wzór dla sanowania stosunków teatralnych, nie spróbować tak modnej obecnie aktualizacji starych środków? Jeżeli to zrobimy, zauważymy: nietylko brak kina był motorem powodzenia teatru; inaczej też on wówczas wyglądał. Szło się jak na uroczystość, bo teatr był dużo poważniejszy, był placówką nietylko rozrywkową, ale też kulturalną. Poważnie traktował swe zadanie i poważnie był traktowany.

Podziwiamy awangardową postawę Sowieców, interesujemy się ich zdobyczami w dziedzinie teatru. Ale to nie prowadzi wcale do tego, abyśmy u siebie nawet próbowali pójść drogą eksperymentów, dla stworzenia ciekawego, z życiem naszym, z aktualnością związanego teatru, który nadto, budząc zainteresowanie zagranicy, zaznajamiałby ją zarazem z naszym życiem, z naszą pracą, jak to widzimy w Sowietach.

Zwrot ku teraźniejszości, zmniejszenie ilości przedstawień ściśle rozrywkowych, wysuwanie na pierwszy plan rzeczy polskich, z obcych importowanie tylko wartościowych — oto eksperyment, którego do dziś nie zastosowano, może z obawy przed jego nowością, a który może uzdrowi finanse i położenie teatru.

Czy pójście wskazaną tu drogą oplaci się? Nie odrzuca. Musimy sobie zliczyć sprawę z tego, że niełatwo uzyskać utraconą placówkę. Publiczność nie tak prędko zrozumie zmianę polityki teatralnej. Wieloletnie zaniedbanie zemści się wymaganiami wielkiej pracy i cierpliwości. Nie odrzuca publiczność się zorientuje, że nastąpiła dla teatru nowa era; nie będzie też wiedziała, jakie wobec niej zająć stanowisko. Ale — użyjmy najłatwiejszego argumentu — widowiska i tak najczęściej świecą pustkami. Czy nie lepiej latać deficyty w nadziei, że się ku czemuś idzie, że się spełnia zaszczytna funkcja? Anieli z założeniami rękami, z niezrozumiałym uporem iść ku zatraceniu? Czy nie lepiej wyjść naprzeciw nowemu czasowi, aniżeli czekać, aż jego twórca praca zniecie politykę najmniejszego oporu? Przez porzucenie dotychczasowego kierunku, smutne dające rezultaty, przez pójście nową drogą — teatr nietylko spełni swe właściwe zadanie, ale też zdobędzie sobie z czasem tę publiczność, za którą dziś daremnie gonii. Będzie czemś jednym w plejadzie rozrywek. Będzie dawał wartości niespotykane gdzie indziej. Będzie budził szacunek zamiast lekceważenia.

MARCELINA GRABOWSKA

T E A T R

TEATR POLSKI: *Judasz* z *Kariotlu*, dramat w 5 aktach KAROLA HUBERTA ROSTWOROWSKIEGO. Reżyserja Schillera i Solskiego.

O Judaszu w poezji, w dramacie, w beletryście można napisać sporą rozprawę, i dramat Rostworowskiego zajmowałby w niej jedno z naczelných miejsc. Według tego, co o Judaszu pisał krytyka dawniej i teraz, na tę postać i na jej uzasadnienie u Rostworowskiego składają się następujące elementy:

1) Judasz jest duszyczką kramarską, przyziemną — „jam w Galilei sklepik miał” — oderwaną (niepotrzebnie?) od właściwego dla niej warsztatu; 2) mógłby zrozumieć Chrystusa tylko jako króla lub cudotwórcę, tylko takiby mu naprawdę imponował, i tylko dla takiego gotów jest być impresariem, faktorem; 3) jest w nim jednak także reszka szatańskiego demonizmu, prawie lucyferyzmu, który go prowokuje do walki z tym Bogiem; 4) ze wszystkich stron wali się na niego sugestia, że on musi wypełnić swoje przeznaczenie, zapisane w księgach proroków, — jest więc Judasz ofiarą biblijnego determinizmu; 5) czyn główny, zdrada, właściwie jest już tylko jakby szczegółem, kropką nad i, czemś niegodnym nawet jego samego (Judasz to *wielkość małości*), ale jeszcze osobno spowodowany jest losem Racheli, jego żony, która została wydana żołnierzom na łup za wierność Chrystusowi, — Judasz, jako podlec *a priori*, musi coś wręcz przeciwnego uczynić; 6) w wielkiej scenie u arcykapłana zostaje sterroryzowany, upokorzony, arcykapłan zwyklemi środkami (analogja: doskonała scena upokorzenia Kozy mordobiciem w *Czarnych skrzydłach* K. Bandrowskiego) wydobyla z niego małość, i narzuca mu pieniądze: jest to również reminiscencja podobnych scen w ochronie rosyjskiej w czasie rewolucji z r. 1905; aż ludowy Judasz, bohater 30 srebrników, tu już wyraźnie znika, — zdaje mi się, że nawet liczby „30” się nie wymienia.

Jest dowodem wielkiej siły dramatycznej Rostworowskiego, że te poniekąd sprzeczne ele-

menty połączył w jedno. Jego Judasz i Kaligula są jedynymi bodaj kreacjami w naszej szczupłej literaturze dramatycznej, pomysłami na miarę europejską, — są to postacie wielobarwne i zagadnieniowe, ciekawe i jako charaktery i jako „postawy” ludzkie. Gdyż poza tem naszą dramaturgią tworzy albo półbogów (Konradowie, Trydjon), albo — zwłaszcza w komedjach i t. zw. sztukach (półkomedjach) tworzy postacie jednoznaczne, że tak powiem krótkie, żyjące tylko jednym rysem (pani Dulaska, Strasz).

Ale dużą wadą *Judasza* jako sztuki jest to, że autor zataił legendarność głównej postaci, i że robiąc Judasza „ludzkiem”, przesadził, zrobił go — mimowoli — aż męczennikiem, ofiarą procy i Boga. Wszyscy naokoło niego — w i e d z a, wszyscy są przekonani o hoświe Chrystusa, tylko on jeden jest sceptykiem; oni żyją już jakby w r. 1500, żyją zwycięstwem Chrystusa, on jeden jest naprawdę współczesny, tylko w nim wiara się waha. *Judasz* Rostworowskiego napisany jest dla ludzi wierzących, i ta wiara ma cechy dogmatu. Jego Judasz jest „ludzki”, lecz nie „ogólnoludzki”, i gdy naogół można powiedzieć, że każdy człowiek ma w sercu Judasza, — ten Judasz nie jest Judaszem Rostworowskiego, pobitym i potępionym *a priori*, bez walki.

O grze Solskiego w roli Judasza słyszałem następujące zdanie świętego poety Wojciecha Bąka: Byłem na jednym z dalszych przedstawień; mnie jako przyznanego nie nie obehdził Solski jako jubilat, i patrzyłem na jego grę nie pod kątem widzenia jego jubileuszu i jego 80 lat, a jednak ta gra mnie „brała”.

KAROL DRZYKOWSKI

P O W I E Ś Ć

JERZY BANDROWSKI: *Pałac polamanych lulek*. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej.

Powieści Jerzego Bandrowskiego, pisarza raczej popularnego, gawędziarza, dostawcy literatury, cieszącej się znaczną popularnością, mają swoje życie ukryte, głębsze, niż się to z pierwszego rzutu oka mogło wydawać. Krytyka zaś interesująca szczególnie ze względu na to, że dają mu dobrą okazję do zbadania granic pomiędzy zwykłym, choćby literacko stylizowanym opowiadaniem o faktach, zdarzeniach i przeżyciach, a tym gatunkiem literackim, który nazywamy powieścią.

Pałac polamanych lulek sposobem pisania i tematem należy do cyklu, rozpoczętego przez bardzo dobre „Czarne romanetto” p. t. *Czarci*. Następny tom nosił tytuł *Widzenie Wokandy*. *Pałac*, aczkolwiek tematycznie stanowi całość odrębną, wiąże się jednak z tamtymi „gatunkowo”. Jest to, jak i dwa poprzednie, opowiadanie o przeżyciach, leczonych na perferji psychiki normalnej, a ujętych w formę autobiograficzną.

Gdybym chciał zakwalifikować *Pałac* jako rodzaj literacki, nazwałbym go „reportażem psychologicznym”. Określenie do pewnego stopnia paradoksalne, jako że zasadniczą cechą „reportażu” jest opis zewnętrzny, rozmyślnie eliminujący komentarz „od wewnątrz”. A jednak przeżycia, dzieje psychiki też podlegają ujęciu reportażowemu. Wystarczy pozostawać wiernym „temu, co się działo”, opisywać swoje przeżycia, tak jak się opisuje fakty i zdarzenia, nie wychodząc poza to, co jest bezpośrednio dane, nie starając się o syntezę, nie budując całości, mającej swoją własną, zamierzoną przez artystę wymowę, — a otrzymamy własny „reportaż psychologiczny”.

Ostatnia powieść Jerzego Bandrowskiego zajął ją nas z właściwościami tego gatunku.

Akcja rozgrywa się w zakładzie dla nerwowo i umysłowo chorych; autor opisuje wydarzenia niemal dzień po dniu: co się działo, kogo widział, jakich scen był świadkiem, co przeżywał, jakie przychodziły mu na myśl refleksje, jakie uczucia go ożywiały. Stoimy tu wobec ogromu materiału, zbieranego skrupulatnie, sumiennie, zapamiętanego znakomicie i odтворzonego z wielką dłałością. Autentyzność doprowadzona do wysokiego stopnia.

Ale na to, aby autentyzność mogła stać się środkiem ekspresji pisarskiej, aby nabrała wagi estetycznej i głębszej emocjonalności, na to trzeba jednego: aby stopień prawdy, stopień odkrywczości, gwałtowność obnażeń były tak wielkie, żeby się stały dla czytelnika rewelacją; autentyzność jeśli ma być solą utworu artystycznego, musi odkrywać nowe podziemne światy, musi dźgnąć nowością, niespodzianką. Musi ciągle mówić: ten świat, który znasz od dziecka, wygląda zupełnie inaczej, niż ci się zdaje.

Trzeba poszerzyć ramy zwykłej obserwacji i pokazać świat dziwów poza światem zdarzeń pospolitych. Trzeba zdobyć w sobie i następnie kulturować taką umiejętność widzenia rzeczy, któraby była tem w stosunku do widzenia zwykłego, czem jest obraz świata fizyka czy biologa do obrazu świata człowieka nawiętego. Autor, który tą drogą idzie, może istotnie nie dhać ani o konstrukcję, ani o „ciekawość” fabuły, ani o taką czy inną budowę powieści. Może pozwolić sobie na bezkształtność i ta bezkształtność może być okupiona większym wysiłkiem twórczym niż napisanie powieści „dobrze zbudowanej”. Projechem tego typu studjów powieściowych jest Proust. Bandrowski — to jakby Proust dla młodzieży.

Wielką twórczość w stylu autentyzności wymaga jeszcze jednego. Aby punkt ciężkości zainteresowań pisarza był tak dalece przeniesiony w literaturę, aby literatura była w tak wielkim stopniu jego żywiołem, iżby pozwalała pisarzowi zdobyć właściwy dystans do tematu, dystans, w którym topi się prosty praktyczny stosunek do rzeczywistości, w którym namiętność badawcza staje się panującą, zagłuszającą wszystkie inne życiowe preokupacje. Musi tu nastąpić pewnego rodzaju „przewartościowanie namiętności”.

Ale tego właśnie brak Jerzemu Bandrowskiemu. Jest to człowiek zabłąkany wśród dziwów, jakiś pan Twardowski w domu warjatów. Ciągle mąny przed oczyma zdrowego i porządnego

człowieka, który leczy swoje skolatane nerwy i który tęskni za tem, by „nareszcie to się skończyło”; a że jest literatem, więc „przy sposobności” opisuje to, co widział. Ten romans tak bardzo patologiczny ma w sobie za mało tej nieodwzajemnionej patologii literackiej, przenoszącej punkt ciężkości zainteresowań człowieka z życia praktycznego na wizję świata, która staje się drugą ojczyzną artysty, w której się człowiek zaszywa całkowicie i staje „nieprzemakalnym” na fale „zwykłych” spraw, aspiracji, zainteresowań. *Palac polutanych lalek* ma preokupację praktyczną. Jest za bardzo pamiętnikiem. W gruncie przebiega z tych kart kłopot starych powieściopisarzy: aby Numa wyszła za Pompiljusza. A już skoro to się stanie, to nie będzie o czym pisać. Stara znała tęsknotę za cichym życiem z ukochaną kobietą, uhrana w kaftan bezpieczeństwa. Jakis zakochany Zagłoba, który stał się literatem i dostał do domu zdrowia. Tylko że ten Zagłoba przedtem nazywał się dużo-dużo literaturą, mieszkał w mieście i zwykle życie hulaki-bułałdy i gawędziarza już mu dziś nie wystarcza. Szuka innych podnieć, ale tylko tak w przewie, „póki co”. Ma się ciągle wrażenie, że głyby list, który bohater powieści dostał od ukochanej kobiety, był innej treści, głyby mu napisała, że przyjeżdża do niego, że go kocha i marzy o powrocie do wspólnego życia—cała powieść straciłaby swój sens. Bo całą tę powieść wypełniają zwierzenia z przeżytych bólów i zawodów. Ma przez to ogromny podkład szczeroci i jest tak „po ludzku” sympatyczna. Ale literatura to coś więcej. Jest w niej zawsze coś nieludzkiego. Nieludzki jest Flaubert, nieludzki jest Dostojewski, nieludzki jest Proust. Jest w tem pasja poznawcza, pasja podważania wizji świata, tworzenia sobowtóra rzeczywistości, zamkniętej w sobie, a ambicją autora jest tak ten świat przedstawić, by sobie wystarczał, a nie—by trzymał się tylko naszym do niego stosunkiem współczucia, miłości czy nienawiści. Może na dnie tej pasji podważania rzeczywistości tkwi coś demonicznego? I jest tak zapewne, skoro pisarze katolicycy, tacy jak Mauriac, Riviere, tak bardzo się męczą nad wiezną niezgodą pomiędzy światem wiary a światem sztuki. Ale tak już jest, to właśnie nazywamy literaturą, sztuką. Wszystko inne to zwierzenia, list, pamiętnik, opowiadanie, życie praktyczne.

Powieść Bandrowskiego można nazwać epistolarną. Głyby ktoś z nas otrzymał taki cykl listów! Jakież to byłoby ciekawe! Ale literatura to coś więcej niż „materjały”, notatki, choćby—jak tutaj—pulsujące krwią i ujmujące swoją ludzką szczerocią.

Naturalnie, autor na taką ocenę ma zawsze odpowiedź, w istocie nie do odparcia. Może mianowicie powiedzieć: a ja właśnie tak pisać chcę, tak mi się podoba! Jest to jego prawo. Ale prawem krytyki jest powiedzieć, czy ten sposób pisania to jest literatura.

Palac polutanych lalek sprawia dziwne wrażenie, przez pomieszanie w nim elementów, rzadko występujących łącznie. Przywykliśmy, zwłaszcza w Polsce, że gawęda, opowiadanie, kojarzą się z tonem pogodnym, optymistycznym, z zamiłowaniem do łatwej intrygi, humorem, dowcipem. Bandrowski, który jest z talentu gawędziarzem, opowiadaczem, pamiętnikarzem, lubuje się jednak w tematach ponurych, wkracza chętnie w dziedzinę patologii. Gawędziarz, opisujący dom warjatów, ludzi, którzy „wychodzą z siebie”, nekami zjawami, przecieczkami, lękiem metafizycznym i opowiadający to wszystko z tą polską poczuciwością urodzonego gaduła—to skojarzenie, nie pozabawione wyszukanego smaku.

Nie chcę być źle zrozumiany. Nie chcę, aby pomyślano, że neguję wartość obserwacji Bandrowskiego. Owszem, są one nieraz świetne. Przewidywaliśmy szczerze, ujmujące bezpośredniość, ożywione jakąś załością wewnętrzną, a pozatem jakże bardzo różnostronne. Chorzy, ich pożyście ze sobą i z lekarzami, realia, to znówu refleksje, lęki, udręka duszy. Nie brak i wlotów filozoficznych, wcale nie sztucznych, przechodzących w metafizykę płci, mającej mocne, napięte akcenty, nie spotykane u nas od czasu Przybyszewskiego. Wyborne, charakterystyczne sytuacje, jak np. owego kapitana, udającego, że nie wie nic o paraliżu postępowym, toczącym właśnie jego organizm.

Ale to są wszystko raczej narzuty, aluzje. Chciałoby się powiedzieć autorowi: no, jeszcze krok, jeszcze trochę, więcej badawczego, więcej pasji duszoznawczej. Ale Bandrowskiego, mam wrażenie, trudno namówić...

Powieść Bandrowskiego jest ciekawa jako okaz twórczości, występującej pod hasłem „życie”. Bandrowski zawiera się w życiu. Niech wszystko będzie tak „jak w życiu”. Niema konsekwentnie rozwijającej się akcji? Wzrost? W życiu też jej niema. Zarzysowane sytuacje, zapowiadające jakiś dramatyczny konflikt, urywają się nagle i tok opowiadania zbacza na nowe koryto? Wzrost? Czy w życiu nie dzieje się tak samo? Jest to stanowisko leniwe i antyliterackie. „Wierność życiu” w pojmowaniu potocznym a w pojmowaniu literackim—to różne sprawy. Tę „wierność życiu”, tę autentyczność też się robi, też się ją zdobywa. Jest to też jeden ze sposobów pisania. Nie osiąga się tego nainwem posłuszeństwem wobec biegu wypadków, tak jak się je widzi. Aby mówić przykładami, przypominajmy sobie cykl powieściowy Marii Dąbrowskiej *Noce i dnie*. To też jest pisane „zgodnie z życiem”. Tu też wszystko płynie „jak w życiu” i to złudzenie autentyczności wstrząsa nami. Ale ta prawda, ta „zgodność z życiem” jakimż jest okupiona rozmysłem artystycznym! I tym artystyzmem się właśnie trzyma, to stanowi o jej sile i wyrazie.

Wierność życiu, zdobytą rozmysłem artystycznym, nie koniecznie musi być zimnym kalkulatorem, całopalaniem „żywego” życia, aby wysmażyć z niego życie powieści. Tak się wielu, może i Bandrowskiemu, wydaje, ale to nieprawda. Ta praca „na zimno” nad życiem nie zabija jego irracjonalności, tylko ją pogłębia. Prowadzi też do miłości życia, tylko trudniejszej, dalszej, głębszej.

Umieszczając nową książkę Bandrowskiego w cyklu powieści pokręconego charakteru tegoż autora, wyznaczylim jej miejsce pomiędzy *Czar-*

tami a Wdzeniem Wokandy. *Czarc* wypadli najlepiej dlatego zapewne, że tu materiał przeżyć był tak dalece moczny i niezwykły, iż mówić niemożna było o sobie, to sam opis tego, co było, przenosił nas w nowe, nieznanne światy. *Wdzenie Wokandy* pozbawione było tej bezpośredniości i szczeroci. Było niby konstrukcyjne, ale nie doś, by tą konstrukcyjnością zainteresować. *Palac* stoi pośrodku. Jako tak zwany „pamiętnik duszy” ma w literaturze miejsce trwałe.

J. K. SKIPESKI

KRONIKA FILMOWA

ABC polskiej komedji filmowej—to Dymsha, Krukowski i Walter. Niestety, na tych trzech „literach” kończy się u nas elementarz filmowego komizmu. Ale nawet z tego elementarza nikt nie umie czytać! Przecie takie słabe filmy jak *Antek policmajster* czy *Abc miłości* nie są właściwie kinem. Głyby reżyser zadał sobie trochę trudu i zanalizował najlepsze amerykańskie filmy komiczne, toby może dość łatwo odkrył, na czym polega główny sekret komizmu aktora w kinie. Sekret nie jest schowany głęboko. Nie polega na zabawnym dialogu, czy piosenke byle przyczepionej do filmu, nie zależy od zabawnego kostjumu czy takichże ruchów. Z tych rzeczy można się oczywiście śmiać, ale w tem jeszcze niema kina. Główny sekret, który wlaściwie filmów Chaplina, Keatona i innych komików ekranu, polega na tem, że każdy z nich stworzył pewien typ bohatera, który odłud stał się powtarzalny, ciągle był ten sam. Nie możemy sobie wyobrazić filmów Charlot bez zabawnego człowieka w meloniku i w wykrzywionych butach. Cieszymy się z każdej zapowiedzi jego nowych przygód dlatego właśnie, że już go dobrze znamy, że z zewazu wiemy jak wygląda i jak się zachowa. Ta znajomość bohatera jest głównym źródłem naszego zadowolenia, a bez niej trudniej byłoby o komizm pomysłów i sytuacji. Genjalny Chaplin najlepiej to rozumiał i nigdy z tej drogi nie zoeżył. Buster Keaton był dobry, dopóki był stale taki sam: o martwej drewnianej twarzy i ruchach automatu. Ale kiedy zaczął, kiedy zaczął „grać” różne postacie, cały urok tego aktora przysł. Ze sekret kinowego komika polega na odkryciu w aktorze szablonu, który się potem w różnych perypetyjach powtarza—o tem świadczy film rysunkowy, którego myśki i świnki pokochały cały świat. Tę samą metodę stosują słynne „historje w obrazkach” w różnych periodykach (np. *Mały Król Soglova* w *New Yorker*).

Główny gwiazdor polskiej komedji filmowej, Dymsha, stał się sławny na estradzie, bo potrafił stworzyć *genre*, który stale powtarzał i który publiczność polubiła. *Genre* ten nie jest kinowy. Możliwe jednak, że jakiś materiał kinowy w Dymszy kryje się, pewne jego przypadkowe „kawaly” każą się tego nawet spodziewać. Ale cóż, reżyserzy starają się Dymśkę ciągle zmieniać, zamiast znaleźć dla niego maskę i kostjum—stale, niezmiennie i naturalnie kinowe, t. j. nie przeniesione żywcem z kabaretu.

* Autorzy przynębiającego filmu z Flipem i Flapem (*Byli sobie dwaj hulaje*) musieli ciężko upaść na głowę przy wymyśleniu scenariusza. Subtelny Walt Disney nie ma z tem nie wspólnego, to kłamstwo reklamowe. Potworny ten film ma nas przenosić do krainy baśni, a tymczasem jest grubym zaprzeczeniem wszelkiej fantastyki. Pozornie mamy wszystko co trzeba: dekoracje jak w bajkach, kostjumi z bajki, temat z bajki—a żadnego efektu niema, film jest niestrawnym kalekiem. Dlaczego? Oto bajka wymaga stylizacji: ani dło, ani aktorzy nie mają prawa udawać prawdy. Przebrać się w dziwaczne stroje i wybudować domy-zabawki—to nie wystarcza. O stylizacji, o wykreśleniu z gry aktora naturalizmu łatwiej na scenie i dlatego inscenizacja bajek jest w teatrze tysiąc razy łatwiejsza niż w kinie. W kinie do tej pory jedynie film rysunkowy potrafił to rzeczy rozwiązać, bo tu sama zasada rysunku wyklucza niebezpieczeństwa. Film normalny stara się zazwyczaj dać taką scenerję, żeby wyglądała jak prawdziwa. Otóż to właśnie nie da się pogodzić z wymaganiami fantastyki! Nie można budować realistycznego domu w kształcie buta, z realistycznymi rekwiizytami, z aktorami, których gra jest „jak w życiu”, z oświetleniem realistycznym i kazać wierzyć, że to bajka. To nie bajka, to nonsens. Dwa są wyjścia: albo wrócić do metod ekspresjonizmu, który nie bał się dekoracyj rozwijanych czysto po malarstwu (Caligari, Raskolnikow), albo deformować rzeczywistość, wykorzystując możliwości samego oświetlenia i szkiele. Idąc tą drogą, można stworzyć rzeczy bardzo ciekawe (*L'étoile de mer* Man Raya i *Vampire* Dreyera). Natomiast ani *King Kong*, ani obecna bzura z Flipem i Flapem żadnej drogi nie wskazują.

To samo dalo by się powiedzieć o operetkach filmowych. Stylizacja i dowcip mogą jeszcze tego trupa ożywić na scenie (dowodem *Oświadczy pod dębem* Offenbacha pokazane w Instytucie Teatralnym, małe arcydzieło dobrego smaku i pomysłowości). Ale na ekranie jest to rzecz przegrana. *Wesoła wdówka* jest filmem nudałym i niepotrzebnym. Cóż z tego, że Chevalier to sympatyczny kabotyn, że przepychy wystawy, że Zanetta, że Lubitch, że to i tanto!... Spektakl przypomina galwanizowanie zdechłej zaby. Kiedy ta zabawa trwa dwie godziny, dostajemy miłości i wychodząmy na dwór.

Mała Shirley Temple, nowy cudowny bobas ekranu, podbiła świat. Nie lubię filmów z dziećmi, bo gruboskórni dorosli zamiast puseć dziecko luzem i zająć się ciekawą obserwacją—uczą je grać jaknajmądrzej, co prowadzi do fałszu. Shirley jest czarująca, kiedy jest sobą, dzieckiem, ale kiedy zaczyna mizdrzyć się i śpiewać piosenki jak diva na scenie (*Rozśmiane oczy*), czujemy niesmak i wstyd za dorosłych. Żal dzie-

cka! Powtarza się ta sama historia, co kiedyś z Jackie Cooganem. Jeden Chaplin potrafił pomniejszyć Coogana do rozmiarów, właściwych dziecku (film *Brdęca*), reszta reżyserów kazała chłopakowi zgrzywać się. Dzieci tresuje się jak psiki, a zadowolona publiczność rozczula się i woła: jakie to mądre, zupełnie jak dorosły!

*

Nieudany film Duviviera o życiu Chrystusa jest porażką bardzo ciekawą. Jest to jaskrawy przykład, że X-ta rzuca ma ograniczony teren działania, poza który nie powinna wychodzić. Niestety, cheiwy kapital i fałszywe pretensje realizatorów ciągle pchają kino na cudze podwórka, gdzie może być tylko natrętnym intruzem. Dla człowieka wierzącego „materiałizowanie” postaci Chrystusa w aktorze jest niemożliwe, wierzący nie może wzruszyć się grą ucharakteryzowanego pana, bo w takim odtwarzaniu postaci Syna Bożego zawsze będzie brakowało pierwiastka boskiego. Niewierzący—co innego, ale dla niego trzeba by zrobić film zupełnie świecki, o koncepcji np. renanowskiej. Film *Gołgota* jest pomieszaniem obu rzeczy i dlatego nie zadowolony nikogo. Dziwnem się trochę wydaje, że tak łatwo udziela poparcia i protektoratu temu filmowi kler katolicki. Powinien się przecież ktoś zorientować, czego warta jest taka filmowa wersja opowieści ewangelicznej. Szerzej o tem piszę w dziesiątym numerze wileńskiego *Paxu* i do niego ciekawych odsyłam.

A. ROHDZIEWICZ

V A R I A

Materjały do bibliografji piśmiennictwa kobiet polskich (do roku 1929). Nauki matematyczno-przyrodnicze i nauki stosowane. Lwów 1934. Nakł. Lwowskiego Polsk. Stowarzysz. Kobiet z wyższem wykształceniem.

Materjały do bibliografji piśmiennictwa kobiet to pierwsza tego rodzaju praca w Polsce. Jest to zbiorowa praca szeregu specjalistek i ma być, jak już w przedmowie zaznaczono, źródłem informacji i obrazem dorobku kobiet na polu nauk matematyczno-przyrodniczych i stosowanych. Podzielone są te materjały na 15 działów, jak matematyka, fizyka, botanika, medycyna i t. p. W obrębie każdego działu autorki podane są w porządku alfabetycznym, dane zaś bibliograficzne, dotyczące prac i starannie opracowane, w porządku chronologicznym. Na końcu książki znajdują się skróty i objaśnienia oraz skrócony nazwisk.

Rozejrzawszy się bliżej w materjale bibliograficznym, można dojść do ciekawych spostrzeżeń. I tak w pierwszym rzędzie uderza ogromna różnica ilości piszących autorek w obrębie działów. Najmniejszą ilość autorek ma dział matematyki (47), geologii (83) i techniki (81), największą ilość medycyna (1746).

Ciekawy jest też wzrost liczby prac w ciągu stuleci. Ilustruje to załączona tabelka (w cyfrach przybliżonych):

Dział	Wiek XVIII	Wiek XIX	Wiek XX	Pierwsza praca rok:
Matematyka	—	—	80	1906
Astronomia	—	4	16	1866
Meteorologia	—	3	15	1884
Fizyka	—	14	158	1873
Chemia	—	11	126	1895
Geol. i pokr. nauki	—	2	97	1885
Geogr. i pokr. nauki	—	45	251	1831
Antropol. i pokr. n.	—	145	319	1817
Botanika	—	42	460	1826
Zoologia	—	40	488	1862
Medycyna	—	59	2002	1825
Gospodarstwo wiej.	2	31	501	1783
Technika, przemysł	—	5	200	1836

Jak widać z tabelki większość prac przypada na wiek XX, a więc na pierwsze pokolenie kobiet, mających już swobodę studjowania na uniwersytetach polskich.

Bardzo też wyraźnie zaznacza się wzrost ilości prac po powstaniu Polski Niepodległej. Do studjów politechnicznych dopuszczono kobiety dość późno, to też ilość prac z tego działu jest stosunkowo mała, chociaż nie mniej interesująca jest to, że odnotowano 15 opisów patentowych.

Bibliografja ta ma jednakowoż i pewne braki. Jest ona niekompletna. Jest to zresztą zaznaczone i wyjaśnione w przedmowie, niemniej istnieje konieczność uzupełnienia, może drogą ankietową w pismach codziennych i fachowych lub też jakąś inną. Poza tem brak zestawienia autorek według stuleci. Przy obszerniejszej bowiem bibliografji, wyszukiwanie autorek zależnie od wieku staje się żmudne, zaciera się też obraz dorobku kobiet w poszczególne wieki. Piśmiennictwo ogrodnicze a także i pedagogiczne z zakresu nauk matematyczno-przyrodniczych i stosowanych powinno być wyodrębnione, działy te bowiem są dość bogate w ilość autorek i prac, a odciętyłoby też znacznie dział *Varia*.

Książka to więc niewątpliwie ciekawa, a dla historii ruchu kobiecego ma ona swe znaczenie i wymowe. Dostarczyć też może wiele materiału do dokładniejszej charakterystyki tak kierunku zainteresowań kobiet jak i poszczególnych sylwetek kobiecych.

Książka wydana jest naogół starannie, dobrym drukiem i z dobrej przeprowadzoną korektą.

JANINA ANTONIEWICZOWNA

*

CEZARY JELENTA. *Sosny otwockie*. Obraz miasta-uzdrowiska. Warszawa, 1935. Nakładem „Wydawnictwa współczesnego”.

W czasach przedwojennych niedoceniano warunków klimatycznych Otwocka. Poczytano tę podwarszawską miejscowość za rodzaj namiastki Zakopanego dla chorych mniej zamożnych, lub z innych względów nie mogących oddać się zhytno do stolicy. Rozwinił się wówczas Otwock ja-

ko osiedle duże, ale naogół mało komfortowe, pół-proletariackie, silnie wyznaniowe.

Stopniowo wszakże, zwłaszcza, w niepodległej już Polsce, fortuna usmiechnąć się zaczęła do Otwocka przyjaźniej. Wzięła na się postać ewolucji poglądów wiedzy medycznej na leczenie chorób narządów oddechowych. Przeszono wierzyć w uzdrawiającą magję gór. Leczą one skutecznie tylko pewne kategorie chorych płucnych. Na inne mogą oddziaływać nawet szkodliwie, gdy np. serce i system nerwowy źle znoszą niskie ciśnienie barometryczne okolic górskich. Walkę z chorobą płuc sztuka lekarska rozszerzyła na teren jej związku ze stanem innych organów, oraz całego wogóle człowieka, nie lekceważąc również psychiki. Stąd rozpowszechnił się pogląd, że należy unikać warunków klimatycznych jednostronnie korzystnych dla narządów oddechowych, drażniących zaś inne, poszukiwać zaś należy warunków takich, któreby wzmocniły płuca równolegle z innymi organami i ogólnem samopoczuciem pacjenta. Z natury rzeczy warunki takie nie mogą zbyt ostro się różnić od tych, wśród których pacjent przeżył normalny tryb swego życia. Każdy kraj przeto powinien leczyć swoich chorych u siebie, przyczem dla ludności nizin uzdrowiska nizinne są w zasadzie odpowiedniejsze od wyżynnych.

Na linii rozwojowej tego prądu wiedzy znalazł się Otwock. Ten prąd awansował go ze stanowiska namiastki Zakopanego do roli samostojnej stacji klimatycznej, wartościowej przez to, że rozporządza powietrzem suchym, czystym, orzeźwiającym, a nie wyżynnym. Dzięki temu prądowi i osiąganym przez ten Otwocku dodatnim wynikom, dość lichy dawniej zabudowane osiedle zostało się przekształcać w nowoczesną, racjonalnie urządzonej miejscowość leczniczą. Ewolucja silnie jest posunięta, choć jeszcze nie dobiegła swego kresu. Powstał szereg pierwszorzędných sanatoriów prywatnych i publicznych, kompletnie odpowiadających najwyższemu wymaganiu współczesnej sztuki lekarskiej. Wspaniale kasyno, nieco jeszcze „na wyrost” w stosunku do potrzeb chwili obecnej, wyraża wysokie aspiracje Otwocka. Liczny sztab poważnych lekarzy specjalistów, zrzeszonych w miejscowem towarzystwie zawodowem, pracą swą praktyczną i teoretyczną podnosi stację klimatyczną do godności stacji naukowej. Zagranica poczyna interesować się Otwockiem. Magistrat opracował plany integralnej racjonalizacji całego obszaru uzdrowiskowego. Wszczęte zostało dzieło o znacznej doniosłości społecznej, zasługujące na odpowiednią pomoc ze strony państwa. Niestety, kryzys gospodarczy staje i tu na przeszkodzie.

W dziesiątym rozdziale swjej książki p. Cezary Jelenta rysuje obraz tego miasta-uzdrowiska nie tylko w jego postaci statycznej, lecz uwidacznia także dynamikę procesu rozwojowego, społecznie tak interesującą i ważną. Obraz jest wszechstronny i bogaty, za punkt wyjścia bierze geologię i przyrodę, charakteryzuje warunki klimatyczne, omawia rzeczywistość i perspektywy urbanistyczne, oprowadza po sanatoriach, referuje rozmowy z lekarzami, lub ich poglądy na podstawie publikacji oraz wykładow, nie pomija krajoznawstwa i historii okolic Otwocka. Materjał informacyjny obfity, pracowicie i umiejętnie zebrany, ujęcie literackie żywe i zajmujące. Książka odpowiada ujawnionej potrzebie społecznej i odda rzetelną usługę każdemu, kto o uzdrowisku otwockiem zechce wyrobić sobie pojęcie bardziej syntetyczne, niżli je dać mogą prospekty sanatoriów lub fachowe prace lekarskie.

*

ST. SZ.

DR. FELIKS HAHN. *Hotel pod wesołym kurkiem*. Lwów 1935. Nakładem autora.

Autor w książce swjej odtwarza stylem prostym lecz żywym i barwnym własne przeżycia i działalność oraz zdarzenia, których był świadkiem, z czasów swjej służby wojskowo-sanitarnej w formacjach przeważnie frontowych, najpierw w wojsku austriackim podczas wojny światowej, a następnie w wojsku polskiem w okresie naszych walk z Rosją 1919—1920 r. Pamiętnik ten stanowi pouczający przykład dla każdego lekarza wojskowego, jak wiele może zdziałać ten lekarz, jeśli potrafi, tak jak dr. Hahn, przy wszechstronnej wiedzy fachowej, inicjatywie, energii i taktownem postępowaniu nawiązać z jednej strony właściwy kontakt z dowództwem, a z drugiej—pozywską zaufanie, szacunek i przywiązanie podległego mu personelu oraz chorych i rannych żołnierzy. Autor pomimo całego rozgwaru i niepokoju wojennego, wśród marszów, natarć, cofania się wojsk i t. p., umiał zawsze podtrzymać równowagę ducha w swych oddziałach sanitarnych, nawet organizować, gdy tylko warunki na to pozwalały,—pogadanki, odczyty, biblioteczki ruchome, gry i zabawy towarzyskie w swjej formacji. Toteż ktoś z docieplniejszych towarzyszyów d-ra H. nazwał jowialnie dowodzoną przez niego kompanję sanitarną „Hotelem pod wesołym kurkiem”. Jeżeli można uczynić jakiś zarzut autorowi, to tylko z powodu pewnych nieścisłości historycznych natury ogólnej, które wkradły się do jego książki wskutek zapewne nieuwagi. Zaznacza się to np. na str. 91, gdzie jest mowa o przekroczeniu d. 6 sierpnia 1914 r. dawnej granicy rosyjskiej przez kompanję kadrową, nazwaną „pułkiem strzelców” Piłsudskiego, lub o rzekomem utworzeniu pomiędzy 6 i 16 sierpnia tegoż roku „Polskich Korpusów Strzeleckich, należących do pospolitego ruszenia...”. Wprawdzie autor pisał swe wspomnienia z pamięci, lecz mógłby był uniknąć niektórych odnośnych niedokładności, zajmawszy do tak już obfitego i źródłowego piśmiennictwa, dotyczącego dziejów legionów Komendanta Józefa Piłsudskiego.

L. ZEMBRZUSKI

DZIAŁ RADJOWY PIONU

Z dniem 11 maja otwieramy w naszym piśmie specjalną rubrykę *Sztuka i Antena*, poświęconą literaturze i sztuce radiofonji, zasilaną pracami wybitnych piór fachowych, zamieszczaną co dwa tygodnie. Pierwszą kolumnę radiową znajdą czytelnicy w N-rze 19 *Pionu*.

KRONIKA

WYSTAWA AKWAREL LEONARDA PEKALSKIEGO W ZWIĄZKU ZAWODOWYM ARTYSTÓW PŁASTYKÓW

Przyrodzonym terenem działalności Pękalskiego jest monumentalne malarstwo dekoracyjne. W obecnej chwili działalność ta jednak jest ograniczona wyłącznie do pracy pedagogicznej w Akademii S. P. w Warszawie. Jest to konsekwencja tego, że dzisiaj w Polsce współdziałania malarza z architektem, przy budowie monumentalnych gmachów, właściwie nie istnieje.

Pękalski jest w swoim zawodzie „specem”. Akwarele tego artysty, wystawione w lokalu Związku Zawodowego Artystów Plastyków, mają charakter ćwiczeń w zakresie kompozycji malarskiej. Artystę interesuje tu w pierwszym rzędzie kolor jako element budowy obrazu. W studiach tych posługuje się Pękalski techniką akwarelową, techniką bardzo pomocną w ćwiczeniach kolorystycznych, gdyż wypowiada się ona farbami przejrzystymi, nie dopuszczającymi w zasadzie mieszaniny ich na płaszczyźnie obrazu.

Akwarele Pękalskiego (przeważnie martwe natury) mają kompozycje rozsądną i zrównoważoną; wyczuwa się w nich charakterystyczny ciężar, właściwy malarstwu monumentalnemu, dalekiemu przytem od wewnętrznych komplikacji, trapiących dziś malarzy sztalugowych. Stylistycznie akwarele te spokrewnione są z dzisiejszą sztuką francuską; ściślej biorąc, z jej odłamem umiarkowanym, opartym na tradycjach postimpresjonistycznych.

Nowa ta placówka jest wyrazem naturalnych potrzeb, które niemal od powstania Odrodzonej Rzeczypospolitej nurtowały w życiu Wołynia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że należąc do wieków do składu Wielkiej Rzeczypospolitej, Wołyń posiadał zawsze i posiadać będzie własne oblicze, odrębne właściwości i potrzeby, specjalne zagadnienia pierwszorzędnej wagi, które badać bezstronnie i zaspakajać może z natury rzeczy łatwiej placówka naukowa ściśle związana z terenem, wyczuwająca tej ziemi istotną treść życia.

Celem Wołyńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk będzie krzewienie nauki, popieranie i prowadzenie badań naukowych, dotyczących Wołynia w zakresie wszystkich gałęzi wiedzy.

Cel swój zamierza osiągnąć Towarzystwo przez urządzenie posiadzeń naukowych, tworzenie i popieranie tych specjalnych zakładów, jak muzea, archiwa, biblioteki, pracownie naukowe, za pośrednictwem których będą gromadzone materiały naukowe, wydawnictwo dzieł i pism naukowych, popieranie prac osób, czynnych na polu nauki, popularyzacja nauki.

Podając o powstaniu Towarzystwa do wiadomości zarówno Instytucji, jak też szerokiego ogółu osób, dla których rozwój życia intelektualnego na Wołyniu nie jest zjawiskiem obojętnym, Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk zwraca się z prośbą o udzielenie Towarzystwu poparcia w jego poczynaniach.

W szczególności Zarząd Towarzystwa wyraża nadzieję, że wszystkie osoby, które pracują w jakiegokolwiek dziedzinie naukowej obejmującej swoim zakresem Wołyń, zechcą utrzymać ścisłą łączność z Towarzystwem i w oparciu o tę placówkę prowadzić swoje prace.

Zapisy do Towarzystwa przyjmuje Sekretariat Towarzystwa w Łucku, ul. Sienkiewicza 31, tel. 354, codziennie, oprócz niedziel i świąt, w godzinach 10—14. Konto Towarzystwa w P. K. O. Nr. 146420. Składka członkowska wynosi zł. 18 rocznie, względnie dla członków wspierających—zł. 50 rocznie, albo zł. 500 jednorazowo.

JUBILEUSZ C. JELLENTY

Dnia 18 kwietnia odbyło się w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich posiedzenie Ścisłego Komitetu Honorowego Uczenia 50-letniej działalności literackiej Cezarego Jellenty.

Na posiedzeniu tem ustalono ogólne zarzysy uroczystości jubileuszowej, która odbędzie się w maju r. b. w Sali Rady Miejskiej.

W zebraniu wzięli udział przedstawiciele świata literackiego, artystycznego i wojskowego. Stowarzyszenia i instytucje, pragnące wziąć udział w uroczystości jubileuszowej Cezarego Jellenty, zechcą zawiadomić o tem Komitet pod adresem: Warszawa, ul. 11 Listopada 15 m. 13.

RACZEJ KTOŚ UPADŁ NA GŁOWĘ...

Pan Wacław Kubacki zechciał poświęcić *Pionowi* feljton w nrze 112 *Gazety Polskiej* z r. b. Wyszyda opinie artykułów p. H. Naglerowej i p. K. Zawodzińskiego. Zgola nieudolnie zacepieni autorzy sami zapewne odpowiedzą—jeżeli uznają to za stosowne—p. Kubackiemu, który najwidoczniej nie zrozumiał istotnego sensu obydwu artykułów. Nam tu chodzi już nie o pionowy czy poziomy ale wręcz o płaski dowiep p. Kubackiego w zdaniu: „*Pion* obecnie przybiera pozycję poziomą—pada na twarz przed Słonimskim!... Marny dowiep i sztubacki nonsens. To raczej p. Kubacki upadł na głowę, jeżeli pisze takie bzdury.

Skład Sądu konkursowego jest następujący: Marja Dąbrowska, Franciszek Dąbrowski, Jan Wolski, Franciszek Zawadzki.

Termin konkursu upływa z dniem 1 września b. r.

Adres, pod którym należy nadsyłać prace: Warszawa, ul. Dobra Nr. 6, Związek Nauczycielstwa Polskiego dla F. Zawadzkiego. Na kopercie winno być zaznaczone: „konkurs na nowelkę spółdzielczą”.

NAGRODY IM. L. GALLEGO

Kasa im. Mianowskiego zawiadamia, że sąd konkursowy nagrody im. Leona Gallego, w składzie: prof. H. Galle, J. Krzyżanowski, Z. Szwedkowski i J. Ujejski, przyznał z rozporządzenia p. r. b. funduszu nagrodowego trzy nagrody: p. Franciszkowi Siedleckiemu za pracę p. t. *Z teorii i historii polskiego metru sylabicznego*, p. Janinie Kulezyckiej za pracę p. t. *Moch-nucki a Brzozański*, p. Ludwikowi Fryde za pracę p. t. *Problem noweli*.

HISTORIA LITERATURY

MICHAŁ BRENSZTEJN: *Dionizy Paszkiewicz*. Pisarz polsko-litewski na Zmudzi w pierwszej połowie XIX wieku. Wilno 1934. Wydawnictwa Towarzystwa Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich.

FILOZOFIA

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ: *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*. Warszawa 1935. Kasa im. Mianowskiego—Instytut Popierania Nauki.

PUBLICYSTYKA

WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI: *Wschód a Polska*. (Odbitka ze *Wschodu*). Warszawa 1935. Kwartalnik *Wschód*.

HENRYK ULASZYN: *Ecce Sacerdos? Rzecz o ks. N. Giszynskim*. Poznań 1935.

TURYSTYKA

TADEUSZ DZIEKONSKI: *Biura podróży w zarysie historycznym i organizacyjnym*. Warszawa 1935. Polskie Biuro Podróży Orbis.

BOTANIKA

KAROLINA LUBLINERÓWNA, Dr. Fil.: *Mchy liściaste*. Klucz do oznaczania pospolitych gatunków krajowych. Z 12-ma rysunkami i 4-ma tablicami. Warszawa 1935. Kasa im. Mianowskiego—Instytut Popierania Nauki.

BIBLIOTEKOZNAWSTWO

ALINA ZÓRAWKA: *Opracowanie bibliotecznego wydawnictwa Ligi Narodów*. Warszawa 1935. Libreria Nova.

ZA PRZYKŁADEM MAHOMETA

Jakkolwiek Mahomet był niewątpliwie wielkim prorokiem, jednakowoż—nimo wszelkie wysiłki—nie mógł zmusić góry, by podeszła do niego. Jako człowiek rozumny i natelniony, zrezygnował szybko ze swych ambicji i sam zbliżył się do góry, osiągając cel w ten prosty i niezawodny sposób.

W życiu zdarza się często, że wyczekujemy przyjscia owej przysłowiowej góry, wierząc, że przyjdzie ona do nas bez żadnych starań z naszej strony. Zdaje nam się, że same dobre chęci wystarczą nam do sukcesu. Najczęściej spotyka nas strogi zawód, nie się samo przez się dzieć nie chce, nie się w naszym położeniu nie zmienia.

Dopiero, gdy za przykładem Mahometa, wzbędziemy się nieuzasadnionych nadziei, a zlo-będziemy się natomiast na należytą energię w działaniu, możemy spodziewać się, że się coś odmieni, że wysiłki nasze przyniosą pożądane owoce.

Samo wyklinanie kryzysu i ubolewanie nad wzrostem bezrobocia na nieby się nie przydało; kryzys trwały dalej, a ludzie poszukiwaliby bezskutecznie sposobności zarabiania na kawałek chleba—góra stałaby w miejscu. I dlatego myśl odwołania się do społeczeństwa, by otrząsnęło się z marazmu i bierności, a dostarczając Państwu odpowiednich środków działania, przyczyniło się do zwalczania skutków przesilenia, jest myślą zdrową i godną najwyższego poparcia.

Premjowa Pożyczka Inwestycyjna będzie właśnie tym odpowiednim środkiem, bo nietylko pozwoli na zakrojoną na szeroką skalę walkę z bezrobociem, ale i tym, którzy się do tej walki przyczynią, zapewni—oprócz zwrotu kapitału wraz z oprocentowaniem—wspaniałe nagrody, w postaci wysokich premij.

Korzystajcie więc z okazji póki czas i ukryjcie Premjową Pożyczkę Inwestycyjną.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

M. GROSZMAN: *Karol Marks*. Powieść biograficzna. Przekład S. Reya. Warszawa 1935. „Znicz”.

POEZJA

WŁADYSŁAW ABRAMOWICZ: *Wybór najmłodszej poezji literackiej*. Nowogród 1935. Związek Dziennikarzy i Literatów woj. nowogródzkiego.

SZYMON PIWA: *Wolanie nowiu*. Poznań 1935. Jan Kuglin.

WITALIS RAJMUND ZIELIŃSKI: *Bajowy śpiew*. Poezja. Warszawa 1935. Biblioteka Pisarzy Proletariackich Nr. 3.

KAZIMIERA ALBERTI: *Godzina Kalinowa*. Kraków 1935. Gebethner i Wolff.

STANISŁAWA SZNAPER: *W stronę życia* (Opowieść w wierszach). Warszawa 1935. „Rój”.

PEDAGOGIKA

JANINA RENDZNEROWA: *Współdziałanie rodziców w obojętelnym wychowaniu młodzieży*. Warszawa 1935. Biblioteka Pedagogiczna zespołu rodziców przy grupie „Zręb”.

JÓZEF MIRSKI: *Współdziałanie młodzieży w pracy wychowawczej szkoły*. Lwów—Warszawa (1935). Książnica-Atlas (Współpraca domu i szkoły w dziele wychowania młodzieży. Biblioteczka wydawana staraniem Stow. dyrektorów polskich szkół średnich państwowych pod redakcją Dr. E. Łozińskiego. Nr. 11).

EDWARD HRYNIEWICZ: *Młodociani w Polsce*. Warszawa 1935. Odbitka z *Zycia dziecka*.

TEATR

LUDWIK SIMON: *Dykcjonarz teatrów polskich czynnych od czasów najdawniejszych do roku 1863*. Warszawa 1935. Skł. gł. Książnica-Atlas.

PLASTYKA

MAKSYMILJAN GOLDSTEIN—DR. KAROL DRESDNER: *Kultura i sztuka ludu żydowskiego na ziemiach polskich*. Zbiory Maksymiljana Goldsteina. Z przedmową prof. dr. Majera Bałabana. Lwów 1935. Nakładem Maksymiljana Goldsteina. Skł. Gł. Książnica-Atlas.

NADESLANE

KONKURS

Związek Nauczycielstwa Polskiego łącznie ze Związkiem Spółdzielni Spożywców Rzplitej Polskiej ogłasza konkurs na opowiadanie, nowelkę lub powiastkę dla dzieci, propagującą ideę spółdzielczości na gruncie szkolnym wśród dziatwy starszych klas szkół powszechnych w wieku od 11 do 14 lat.

Utwór nadesłany powinien odpowiadać następującym warunkom:

- 1) propagowana idea spółdzielczości ma być podana nie w formie popularnego wykładu, lecz wpływać powinna z siłą sugestywną, z żywo i plastycznie nakreślonej akcji, rozgrywającej się w środowisku dziatwy szkolnej, z akcji podanej w formie przemawiającej do uczucia i wyobraźni dzieci w wyższym oznaczonym wieku.
- 2) Utwór nadesłany w maszynopisie, względnie w czytelnym rękopisie, powinien wynosić od 15 do 30 stron rozmiaru znormalizowanego.
- 3) Utwór ma być zaopatrzonej w godło. Do utworu należy dołączyć kopertę zaklejoną, oznaczoną tem samym godłem, a zawierającą nazwisko i dokładny adres autora.

Nagrody za wyróżnione utwory wynoszą: I-sza nagroda—400 zł., II-ga nagroda—200 zł., III-cia nagroda—150 zł. W razie nieprzyznania pierwszej nagrody sąd konkursowy może utworzyć 2 dodatkowe nagrody po 200 zł.

TYGODNIK społeczno-polityczny

NOWE CZASY

POD REDAKCJĄ WACŁAWA MEJBAUMA i KAZIMIERZA ZAKRZEWSKIEGO

informuje o przejawach życia wewnątrz kraju i zagranicą z dziedziny zagadnień polityki polskiej i obcej, spraw społecznych i gospodarczych, literatury, nauki, teatru, muzyki, sztuki, radja, sportu.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA LWÓW, KOPERNIKA 9 m. 2

TELEFONY: 233-42 i 290-97

Prenumerata wynosi: 1 zł. miesięcznie, 10 zł. rocznie. Zgłoszenia przyjmują wszystkie Urzędy Pocztove za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych. kartoteka nr. 65 lub blankietów P. K. O. nr. 503.914 (właśc. Kadra).

ŻĄDAJCIE EGZEMPLARZY OKAZOWYCH

ZJAZD NAUKOWY IM. IGNACEGO KRASICKIEGO

W dniach 8, 9 i 10 czerwca br., w czasie Zielonych Świąt, odbędzie się we Lwowie Zjazd Naukowy im. Ignacego Krasickiego, związany — w 200-ną rocznicę urodzin — z pamięcią największego po Kochanowskim a przed Mickiewiczem poety polskiego i pisarza znakomitego, który stąd, z Ziemi Czerwieńskiej, ród swój wywodził.

Myśl Zjazdu ku czci Krasickiego rzuciły Zakład Narodowy im. Ossolińskich i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza.

Zjazd będzie poświęcony:

- 1) twórczości Ignacego Krasickiego oraz prądom duchowym XVIII wieku
- 2) roli Ziemi południowo-wschodnich Rzeczypospolitej w kulturze polskiej
- 3) teorii literatury oraz metodzie badań literackich,
- 4) aktualnym zagadnieniom dydaktyki języka polskiego.

Utworzony Komitet Organizacyjny zaprasza do uczestnictwa w Zjeździe świat kulturalny Polski w osobach przedstawicieli nauki, literatury, sztuki, szkolnictwa, instytucji i organizacji kulturalnych i oświatowych oraz szerokich sfer naszej inteligencji.

WOŁYŃSKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK

W styczniu roku bieżącego zostały ukonstytuowane władze Wołyńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI